



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POCZUCIE PIĘKNA.

Poczucie piękna jest w człowieku siłą uszczęśliwiająca, podnosząca go ponad realizm codziennego bytu; przedmioty oglądanego piękna sprawiają nam też zadowolenie, które się nie da określić. Otrzymujemy coś nieujętego, co raduje naszą wewnętrzną istotę, obdarza ją zadowoleniem, nie dającem się ująć, ani wyrazić, jednak działa to tak żywo, że widok piękności porywa nas i unosi za sobą. Piękno jest zatem siłą, uwielbienie go odciąga nas od tego, co brzydkie, brudne, nędzne, przywiązuje nas do siebie siłą tak potężną, że pozostaje nam w duszy po zniknięciu piękności żal, tęsknota, której trudno nam się odjąć. Jest piękno szczytne, jest piękno miłe; życie, idące szlakiem górnym posiada piękność wzniosłą, i wzniosłą też jest sztuka, która, obrazy jego odzwierciedlając, porywa nas za sobą w świat wielkiej myśli, uniesień ponad codzienne sprawy życia, której piękność miła zdobi wdzięcznie, ciesząc nas łagodnie, pieczołowicie. Grek przebóstwił sobie naturę przez silne odczucie jej piękności, zapełnił ją sobie bóstwami, tworzonemi na obraz i podobieństwo człowieka, i można też powiedzieć, że jego bogi — to ideał człowieczeństwa, pojęty przez piękność, wyrażającą się w sile lub wdzięku.

Dusza ludzka tęskni do szczęścia, to jest do rozwoju wszystkich swych sił i przymiotów. W życiu: w pracowitem, znojmym, schyłającym nas nieraz do ziemi życiu, jeżeli chcemy zbudować sobie piedestał, zbliżający nas cośkolwiek do tych błękitów, gdzie mieszka Bóg, trzeba przedewszystkiem wzbudzić, wyrobić w sobie poczucie piękności, któreby nam kazało przez uczucie doznawanej

do niej tęsknoty, podnosić się ponad poziom realnych jedynie życia stosunków. Piękność nie jest jednakową dla wszystkich, ponieważ przedstawia się ona jako ideał tego, co uważamy za wdzięk najwyższy i można też powiedzieć, że po takim a nie innym odczuciu piękności poznajemy człowieka, jego wyższe lub niższe skłonności, jego aspiracje, poloty jego wyobraźni. Piękne, miłe, wdzięczne jest ozdoba, umileniem istnienia naszego w warunkach życia codziennych, zwyczajnych; piękno wzniosłe unosi nas poza te granice, każe sięgać dalej, wyżej, ukochanie go staje się w nas tęsknotą do rzeczy wysokich i wzrok nasz odrywa się wtedy od ziemi, od jej spraw i piękności miłych, ładnych, aby rwać się kędyś dalej, wyżej. Grek, którego bogi były tylko przebóstwionemi przez piękno ludźmi, stawiał sobie świątynie przedewszystkiem wdzięczne, miłego, łagodnego piękna, ich kolumny, ich frontony, wyrażają dążenie ku górze, ale nie to, które chce, które pragnie rwać się w nieskończoność, gdzieś daleko, daleko ponad ziemię, jak tych katedr chrześcijańskich, których wieże strzelają w błękity proste, wysmukłe, budząc samym widokiem swoim w łonie człowieka uczucie tęsknoty, pragnienie dążenia gdzieś wyżej — daleko, daleko ponad ziemię i jej sprawy, które wobec wrażenia sprawionego widokiem tej wzniosłości, uciekającej po nad ziemię, w nieskończoność maleją, nikną prawie. Grek Ikar przyprawia sobie skrzydła, mechaniczne narzędzie wzniesienia się nad poziom, ale ci, którzy się modlą w kościołach o owych wieżach strzelistych, ogarnieni uczuciem niżkości rzeczy ziemskich stają się według usposobień swego ducha apostołami, pustelnikami, święci są wyznawcami lub męczennikami i odczucie takiego a nie innego piękna ma niemałe, niemal wyroczne, znaczenie w życiu ludzkim, bo ono to rodzi w nas uczucie tego, co jest wdziękiem, a co jest brzydota, więc wytwarza upodobania i wstęty — to, ku czemu wyciągamy ramiona, do czego

dażemy często przez ogień i wodę, lub odpychamy od siebie jako rzecz niemłą nam, nie-nawistną.

Jakże bardzo wychowanie powinno o tem pamiętać. Człowiek, któremu brakuje zupełnie poczucia piękna, jest, musi być z konieczności istotą niską, ponad zwierzęcość mało podniesioną, zadawalnia on jedynie swoje potrzeby fizyczne, ulega prawom moralności przez nakaz społeczny, ale nie dla tej potrzeby wewnętrznej, która każe nam wyciągać ręce ku temu, co nas zachwyca, co tworzy ideał naszego życia, ku któremu dążymy często przez ogień i wodę. Bez takiego poczucia piękna nie byłoby wśród dzieł człowieka nic szczytnego, zadawalniałyby tylko potrzeby swoje fizyczne i rozbudzić w piersi młodej ukochanie dobra dla jego piękna moralnego, znaczy więcej, niż obwarowywać jego spełnienie najsurowszymi rozkazami, bo przyjdzie przecież ta chwila, usamowalniająca człowieka, w której staje się już panem woli własnej, a wtedy nie dość jest jeszcze samych nawyknień cnoty, samych przyzwyczajzeń do niej, bo łatwo to prysnąć może wobec gwałtu namiętności, wobec jej uniesień, i trzeba jeszcze czegoś silniej nas przejmującego. Kochać dobro dlatego, że jest szlachetnie pięknem, to ułatwić sobie jego spełnianie, to uczynić sobie cnotę miłą, słodką rzeczą i pomieścić w niej szczęście. Człowiek jest też wtedy tylko doskonale szczęśliwy, jeżeli dobro, które spełnia, nie jest dlań przymusem, jeżeli stało mu się ono drogim przez urok jego czystości, podniosłości, i tak tylko wytwarzają się ci kochankowie cnoty, którzy idą z uśmiechem słodkim łamać się dla niej z najcięższymi trudnościami, spełniać prace najcięższe.

Wychowaniem należy zaszcześcić w piersi młodej to uczucie, należy otoczyć dobro aureolą piękności takiej, aby miłostna do niej tęsknota uskrzydlała nas niejako i kazała nam stale dążyć ku niej choćby kamienistą drogą pracy i doświadczeń.

Ale przedewszystkiem dobro musi się nam przedstawiać jako obowiązek, jako prawo, którego łamać nam niewolno. Wszelkie przekroczenie prawa sprowadza w stosunkach ludzkich zamieszanie, więc nieład, czyli rozstrój, rozkładający piękno w istnieniu ludzkości, odbierające jej zatem ten porządek, którego potrzeba, aby było tu szczęście, aby było tu dobro. Ideał piękna przedstawia się nam rozmaicie, według temperamentu, pojęć, nsposobień, wykształcenia każdego z nas inaczej, i to właśnie stanowi o doli i niedoli człowieka, jak je pojmie, na jakim tle warunków życia umieści je sobie. Są ludzie, dla których cnota jest łatwą, bo rozkochani są w jej piękności czystej, w jej szlachetnym, wzniosłym wdzięku wtedy nawet, gdy jest ona pokornie prostą, zwyczajnymi drogami życia chodzącą, i są to szczęśliwi tego świata, przeciw szczęściem takim prawie każda matka obdarzyć może dzieci swoje. Choć człowiek przynosi ze sobą na świat dane pewne: skłonności, zdolności różne, — wychowania to jest zadaniem ukształtować je: wytworzyć taki stan pojęć i uczuć moralnych, aby złe zostało stłumionem, dobro otrzymało pomoc, która daje mu siłę szczęśliwego rozwoju.

Ktoś z mądrych ludzi napisał, że każdy wielki człowiek miał matkę dobrą, ze szlachetnym pojęciem życia: jego zadań i obowiązków, lecz to już z pewnością twierdzić można, że poczucie piękna w dobroć wytwarza się w zarodzie swoim przez wychowanie, usposabiając istotę młodą do takiego zapatrywania się na życie, w którym dobro występuje otoczone świetlaną aureolą blasków jasnych, złe zaś jest wstrętnem i niskiem.

Trzeba na to przecież, aby matka miała w sobie coś natury idealnej, aby nie była istotą poziomą, niezdolną do odczucia piękna w tem, co jest życia stroną szlachetną, aby umiała się wzruszyć obrazem cnoty czystej, poświęcenia szlachetnego, bo wtedy i pierś dziecka drgnie tem uczuciem — rozbudzą się w niem wznioślejsze instynkta człowieka, których iskierka, mieści się w każdej piersi ludzkiej. Należy przecież nie zostawiać tego odlogiem; każda matka jest ową kapłanką Westy, która pilnuje ognia świętego i biada tej, która w dziecku swoim zagasnąć mu pozwoli, która postawi się obojętnie lub niedbale wobec tej strony swych obowiązków macierzyńskich. Skoro poczucie piękna moralnego raz się w piersi młodej wyrobi, nietylko wychowanie staje się łatwiejszem; pójdzie to na zysk, na szlachetne podniesienie życia całego, broniąc je od walk ze złemi wpływami, jakie człowiek każdy spotyka na drodze swojej, bo wtedy wie co jest lichem, co jest poziomem, przystępu tu mieć nie będzie. Piękna szlachetnego, wzniosłego, czystego piękna ukochanie jest już samo przez się cnotą, bo pierś, która drgnie uczuciem takim, podłą, nędzną być nie może. Grecy, którzy tak wysoko stawiali człowieka, że wzniosła cnota bohaterów czyniła ich półbogami, dali też ludzkości najszlachetniejszą formę piękna, i tak się dzieje, tak się dzieć będzie zawsze. Trzeba nam widzieć w piękności czystości, wzniosłości, prawidłowości linii, a wtedy uwielbienie jej da i życiu naszemu te warunki, które staną nam do pomocy w jego starciach i pracach ciężkich — postawią mu przed oczyma ideał szlachetny, do którego dążyć będzie, wznosić się, a nie opadać poziomo na padoł istnienia.

I. M.

ALFRED TENNYSON.

(Dokończenie).

Poeta był syt chwały; wybitność miejsca które zajmował na parnacie Anglii, zostały uznane przez wszystkie literackie i naukowe powagi jego narodu, czującego w nim kość z kości, serce z serca swego narodu. Senat oksfortekiego uniwersytetu

nadał mu godność doktora, co naśladował uniwersytet w Cambridge, umieszczając jednocześnie między posagami wielkich pisarzy Anglii popiersie poety, wyrzeźbione w marmurze. W 1855 r. otrzymał godność para i baroneta, a jakkolwiek miał on już swój własny, nadany mu z bożej łaski tytuł do chwały i czei swego narodu, było to widomym znakiem wysokiego uznania jego zasług dla literatury angielskiej — jego polotu ducha zawsze w stronę czystego, szlachetnego ideału. Przyjął też spadające nań zaszczyty w tem rzeczy pojęciu, więc sercem wdzięcznym i z nieukrywanem zadowoleniem, co wyraził w przemowie do wręczających mu insygnia jego godności nowej, dodając, że w tem, co go spotyka, widzi cześć oddawaną poezji, której iskrę pragnie utrzymać, żarzącą się w łonie swego narodu: — „Podnosi ona nad powszednie, drobne troski życia — mówił z uczuciem prawdziwego przekonania — wyzwala z pęt pożądań niskich i przedstawia życie ze strony jego zadań podniosłych, daje człowiekowi dostojne pojęcie jego przeznaczeń, nie pozwalając mu upadać pod ciężarem tego, nad czem powinien panować, jak duch nad materją“.

Dnia tego wieczorem powiedział żonie: — „Jestem szczęśliwy! bardzo szczęśliwy... nie dlatego, że mnie spotkał zaszczyt wielki, ale, że widać zasłużyłem na niego — że mogłem uczynić dla Anglii coś, co jest pożytecznym“. Niemal te same wyrazy skreślił w pewnego rodzaju pamiętniku, który prowadził od czasu pierwszego wystąpienia swego w literaturze. Nie była to książka, zeszyt żaden, a jedynie kartki luźne, na których kreślił wrażenia doznawane i składał je w jednej z szuflad biurka, przy którym pisał. Niemal każde wrażenie silniej go uderzające, otrzymywało w ten sposób odbicie swoje, swoją sylwetkę, kreśloną ze szczerością człowieka, który poważnie zdaje sobie sprawę z uczuć i postępów swoich. Są tam obrazki ludzi spotykanych, uczuć doznanych, wrażeń nawet, jest tam niejednen wierszyk drobny a między tem zarys pierwszy, pierwsza myśl jednego z najwdzięczniejszych jego poematów: „The Spinster's Sweet Arts“ (Słodkie sztuki starej panny).

Jest-to pisana językiem ludowym historia starej panny, córki farmera, to jest gospodarza na niewielkim, ale własnym kawałku gruntu, która mogła iść zamąż niejednokrotnie i to dobrze wedle uznania wszystkich otaczających ją ludzi. Nie poszła przecież, bo czuła, że kawalerowie jej to łowcy posagowi; na starość siedzi też samotna przy ognisku, na którym żarzą się jasno węgle: siedzi, głaszcząc koty, którym nadała nazwiska swoich dawnych konkurentów, a które, jak to sobie powiada, łaszą jej się nie z miłości, nie z przywiązania do niej, ale dla ciepłego kąta, który im daje. Jest-to niewymownie smutny, z tklivością delikatną kreślony obrazek życia bez szczęścia, bez słońca miłości. Starej pannie wyrwa się czasem jakieś słowo gorzkiego żalu za szczęściem niezazanem — wyrwa się wyrzut głuchy, czyniony samej sobie za zmarnowanie życia. — „Lepiej kochać i cierpieć — mówi prostym językiem wieśniaczym — lepiej wszystko przenieść, niż chodzić po świecie z martwym sercem w łonie“...

Takie to proste, a takie piękne! takie prawdziwe i to jest właśnie wdziękiem poezji Tennysona, że umiał rzucać blask duchowego piękna na dzieje powszedniego życia ludzi prostych, maluczkich tego świata, tłumy zbitego dołem. W 1885 r. przyznany mu tytuł barona i para nie zmienił nic w układzie jego życia, w jego skromnej prostocie. Podobnie jak nasz Kochanowski lękał się wpuścić do swego domu jaśnie wielmożności i tak też umiał się z nią obchodzić — tak umiał wyznaczyć jej granice, że nie wypędziła poezji: nie wprowadziła za sobą zbytku, szum wielkoświatowego życia. Pędził on je głównie na wsi, czerpiąc dla poezji swoich blaski i kolory, brane z pośród otoczenia swego, odkrywając wdzięk i podniosłość, górność ducha tam, gdzie ktoś inny dostrzegał by jedynie pospolitość i prozę życia. Patrzył w głąb: widział życia motory duchowe a nie jego zewnętrzną formę jedynie, nie budził też jako poeta interesu w tych tylko, którzy nie umieli doszukać się w jego utworach jądra rzeczy. Dramatycznym wprawdzie nie był, ale podnio-

stym być umiał — podniosłym, choć prostym i znajdującym się wśród jego utworów sceny, są nawet całe utwory takie, których szczytność myśli i siła uczucia dramatycznymi je czyni, jakkolwiek autor nie dał im tego patosu, który by wywoływał efekta uderzające.

Do rzędu takich należy właśnie poemat „Tirezyasz“, historia losów starego, ślepego widuna, który nie ma już niejako miejsca pomiędzy żywymi, a którego przecież śmierć zabrać nie chce. Bogi, w które wierzył, okrutne są dlań i niemiłosierne: niesłyszą go, czy słyszyć nie chcą: zapomniały o nim i kołacze się on jeszcze na ziemi z resztą tchu w piersiach, wśród wiru interessów, prac, zabiegów, które nie są już interessami, zabiegami, pracami jego. Stał on się takim, jak ten duch pokutujący, upiór w *Dziadach* naszego poety: „na świecie jeszcze, lecz już nie ze świata...“ Przecież nędzarz ten niebogi nie wszystko jeszcze utracił: nie został mu odebrany dar podwójnego wzroku, miewa też widzenia piękności, dla których on prorok poeta pałał niegdyś miłością namiętą, a które też litościwie zstępują doń jeszcze i ukazują mu się cudownie w koronach promieni. Poemat ten mieszczący się na kilku kartach posiada, szczególnie w ustępach dramatyczniejszych piękności niepospolite i jest też to labędzi śpiew poety: smętny, uroczysty, tworzony już w oderwaniu się od ziemi, w tęsknocie do innego świata, którego podwoje otworzyć się dlań jeszcze nie chcą a on podnosi wzrok stękniony ku niebu, bo czuje się już obcym na ziemi, nie przywiązanym do tej matki karmicielki człowieka żadnym węzłem interesu uczucia nawet, bo gdzież są ci, których kochał — ci przez których był kochanym?

Tennyson pisząc tak wiele i czytając bardzo dużo, nie był przecież zamkniętym w sobie, odcięty od świata i przeciwnie lubił on towarzystwo ludzi, odpowiadających jego przekonaniom, jego zapatrywaniom się na życie i posiadał w obejściu pewien wdzięk pociągający. Chętnie przyjmował, zwłaszcza przyjaciół bliższych, zapraszał ich do siebie i robił mu tu przyjemność, gdy gość przybywający z okolic dalszych podziwiał wdzięk otaczających jego siedzibę krajobrazów lesistych, lub nadmorskich. Uczynny, dobrego serca, chętnie wspomagał młodych litteratów radą, wskazówkami doświadczenia swego, często pomocą materialną i we wszystkich w ogóle stosunkach z ludźmi był człowiekiem otwartej ręki i serca. Dobry mąż, dobry ojciec dwóch synów, których wychowaniu sam dawał kierunek wytworzył sobie szczęśliwe, spokojne istnienie. Syn młodszy służył w marynarce; starszy, następca biorący po nim spadek tytułu i majątku ziemskiego, przebywał na wsi obok niego i znajdował się też w chwili ostatniej przy jego łożu, gdy śmierć cicho i spokojnie przyszła unieść jego duszę. A była to chwila bardzo uroczysta już wieczorem późnym. Leżał na łożku obszernym w gotyckim stylu, światła żadnego nie było w komnacie, tylko księżyc, właśnie w pełni, rzucając blask swój przez wysokie, wąskie okno, oblewał go srebrną światłością. W ciągu dnia czytano mu Szekspira i teraz jeszcze duży tom dzieł jego leżał na łożku, przy którym znajdowała się żona i syn, a on wiedział, że jest to już moment jego ostatni i żegnał ich tkliwemi, pełnemi miłości słowami, a gdy zamilknął, śmierć przyszła tak łagodnie, że była prawie niedostrzegalną.

Żona pragnęła, aby był pogrzebany na cmentarzu parafialnym, pragnęła, aby do chwili ostatniego z domem swoim rozstania, zwłoki pozostały na łożku, i wruszające to jest żądanie kobiety, jak-gdyby lękającej się o to, aby tym drogim szczerkom ukochanego, nie było źle — nie było twardo, nie było zimno!.. Zmarły wyraził przed śmiercią żądanie, aby spoczął w trumnie dębowej, bo dąb, godło Anglii, było ulubionem jego drzewem i spełniono tę wolę jego, ale wdowa daremnie błagała o pochowanie go na cmentarzu parafialnym. Stać się to nie mogło, bo bard swego narodu należy do niego i złożono go na cmentarzu opactwa westminsterskiego, w miejscu zwanym „Poets Corner“ (zakątek poetów), w pobliżu mogiły Roberta Browning, którego prochy spoczęły tu w 1889 r.

Orszak towarzyszący zwłokom do miejsca

ostatniego spoczynku nietylko był liczny, nietylko znajdowały się wśród niego wszystkie znakomitości Anglii, ale był tam zastęp znaczny wiejskiego ludu z jego posiadłości i wiosek okolicznych, a ci przybyli tu oddać posługę ostatnią nie pisarzowi, nie znakomitemi pocie, ale uczciwemu, dobremu człowiekowi, którego kochali, którego szanowali za życie szlachetnie pędzone i bogdaj tak było przy trumnie wszelkiej osobistości wybitnej. Talent to dar z łaski bożej, ale uczciwość, ale szlachetne pojęcie obowiązków naszych, wśród ludzkości, wśród społeczeństwa swego, to zasługa, za którą dopiero należy się człowiekowi szacunek i uznanie ogółu. Ktoś z pisarzy angielskich zauważył tę szczególność, że rok urodzenia Tennysona, r. 1809, był rokiem urodzin wielu znakomitości: Szopen, Mendelsohn, Darwin, Browning, Gladstone, Holmes przyszedli w roku tym na świat.

M. I.

M G Ł A.

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg)

Krempel tymczasem siedzi na górze i rozmawia ze swoją pacjentką; wpatruje się w nią zwykle z wielką uwagą, nieznacznie bada puls, wyciąga ją na słówka i tę szczegółową auskultacją pokrywa z umysłu swobodną rozmową, aby chorej nie dać poznać, że stan jej uważa za niebezpieczny.

Dowcipkuje przytem wesoło, opowiada jej rozmaite nowinki, pozwala sobie na żarty i figle z dziećmi, przekomarza się z Genią, aby tylko biedną Pawłocką wprowadzić w dobry humor, a odchodząc, powtarza zwykle:

— No widzi pani, że jest lepiej; a tak się pani ostatnim razem martwiła i taką miała nieszczęśliwą minę!.. nie gorszego w chorobie, jak wzruszenia. Pod karą najsurowszą... jakaby tu pani karę zadać?.. aha!.. pod karą nie pocałowania ani razu panny Geni przez cały dzień, nie wolno płakać. Niech Bóg bronil.. ani jednej łezki, ani pół! Zobacz pani będzie dobrze, tylko spokój, spokój, spokój i cierpliwość.

Chora oczy wznosi do nieba, wzdycha i trzymając w obu dłoniach rękę doktora, ścisną ją z jakimś bolesnym uśmiechem.

Nie odpowiada mu na to, ale jej spojrzenie zdaje się mówić:

— Ach, zkadże ją brać nareszcie, tę cierpliwość... — ale spogląda na córkę wpatrzoną w nią z miłością bezgraniczną i aby jej nie zasmucać udaje, że wierzy obietnicom lekarza i że nabrała zaufania.

Ona wie jednak, że nie jest wcale lepiej, czuje, że ten stan z dnia na dzień prawie się pogarsza, że jej sił ubywa, lecz głośno przyznać się nie chce. Po co ma ich wszystkich w domu przedwczesnym smutkiem napelnić?.. niech im się widzi, że jest lepiej, i że przychodzi do zdrowia.

Przy tych wizytach Krempela wszystko troje okłamuje się wzajemnie, aby sobie cierpienia przykrości drugim oszczędzić.

Młody lekarz uśmiecha się do swojej pacjentki, ale gdy tylko wyjdzie z jej pokoju, twarz ma zafasowaną i pochrurnie czoło marszczy, niezadowolony z przebiegu kuracji.

On widzi dobrze, że się pogarsza i że choroba robi postępy pomimo wszelkiego powstrzymywania.

Z sercem nie ma żartów; to nie zegarek, żeby go można naprawić, gdy się raz zepsuje.

Genia, odprowadzając do przedpokoju Adama,

patrzy mu zawsze w oczy i stara się odgadnąć jego myśli; nie śmie go zapytać wprost otwarcie:

— No i cóż?... jakże pan mamę znalazłeś dzisiaj?... — boi się tej odpowiedzi szczerzej, któraby mogła w nią jak grom uderzyć.

A Krempel znów unika jej spojrzenia i spieszy się i zagaduje, jak może.

Nigdy mu w życiu obowiązek lekarza nie wydawał się tak ciężkim, jak w tym wypadku.

Kochające dusze mają szczególniejszy instynkt domyślności i odgadywania. Genia z tego milczenia doktora, z tych jego chmur na czole wnioskując więcej, niż gdyby jej słowami odpowiadał. Bardzo często zamykając za nim drzwi w ciemnym przedpokoju, pochyla głowę na rękę zatrzymaną przy zatrasku i opierając na niej swe czoło, stoi tak nieruchoma przez chwil kilka, zatopiona w jednej jedynej myśli, którejby głośno nie zdradziła nawet przed sobą samą.

Taki bezgraniczny, czarny, wielki smutek osiada jej wtedy na twarzy, jakby się przed nią otwierała bezdenna otchłań, która ma połknąć jedynę szczęście jej życia.

Ale po chwili otrząsa się siłą woli i poczuciem obowiązku z tej zmory, która ją zniemacka napada, lypnie kilka razy powiekami o rzęsach czarnych, długich—jedwabistych, jak pela, poprawi sobie grzywkę nad czołem i strojąc twarzyczkę w uśmiech wraca do matki, przysiadła na podnóżku u jej kolan i łaszcząc się do niej, jak kociak, pyta pieszczotliwie:

— No cóż?... może mamuńci co ładnego przeczytać?... może pani Pawłocka posłucha jakiej ciekawej historyjki?... a możeby pani Pawłocka zjadła trochę rosółku, bo od herbatki nie się w ustach nie miało?... moja śliczna pani Pawłocka!..

* * *

Przez całe dwa tygodnie już Gajski jest jakiś rozstrojony, kwaśny, zdenerwowany czy co takiego; trudno go wyrozumieć.

Sam sobie zadaje pytanie:

— Co ci jest?... no, co ci jest?... — i nie umie inaczey odpowiedzieć, jak:

— Co mi ma być?... głupio mi jest, dyabelnie głupio i tyle.

Pociesza się, że to przejdzie, tylko się pogoda zmieni, bo do wszystkiego jeszcze potrzebowało się to niebo rozmaglać i kapać nieustannie deszczem. Każda kropla opada do tego jakoś tak powoli i ciężko, jakby była senną, a ten monotonny plusk za oknem, ta wilgoć, ta mgła jesienna denerwuje człowieka, że miałby ochotę zedrzczyć ze siebie skórę, jak rękawiczkę.

To także miły wynalazek natury taki głupi, zapspany deszcz!.. żeby jeszcze lało, jak z cebra, to co innego, ale taka kapanina—brrr!.. stanowczo świat ten jest najgorszym ze światów i najwadliwiej urządzonym.

Ale cóż robić?... co najwięcej, można wdziać kalosze, kto je znosi na nogach, wzięść parasol, kornierz od palta postawić do góry i chodzić po błocie.

Marny żywot!.. żeby człowiek zależny był od tego, czy w powietrzu jest mgła, czy jej nie ma, czy ma sucho, czy też mokro pod nogami i żeby jak barania struna na basetli rozstrajał się na wilgoci.

Są tam podobno jeszcze ludzie, na których to nie nie oddziaływa, ale to jakieś kopalne egzemplarze z drucianymi nerwami, nie z dzisiejszego pokolenia, mamuty przedpotopowe, ale nie dzieci swego wieku, nie dekadenci.

Gajski ma się za dekadenta, szczególniej podczas takiej „psiej pogody“ i bardziej, niż kiedykolwiek jest przekonany, jak Hamlet, że „życie to złamanej szpilki nie warto.“

Wszystko jest podłością, idyotyzmem, paszkwidstwem—fel!.. gdyby mu jednak podano nóż, aby sobie nim brzuch rozpruł, jak ów Brutus u Heinego, powąchałby wpięrow ostrze, czy niem poprzednio cebuli nie krajano.

Najfatalniejsza rzecz, że w tem usposobieniu nie ma z kim nawet pogadać; z Kremplem jakoś mu teraz rozmowa nie idzie, coś między nimi stoi,

coś zawadza, coś ich rozdziela, choć pozornie są niby z sobą w dawnej zgodzie i zażyłości.

Z Grotwiczem jeszcze trudniej, bo to sztuka sprytna, gotów przewąchać, że tam na samym spodzie tego niehumoru, zgorzknienia i rozdrażnienia leży kawałek „spódnicy“, nawet duży kawałek, nawet może cała spódnica.

Tożby dopiero śmiał się z niego i drwił, i dogryzał!..

On się przed nim nawet nie przyznał, że już z dziesięć razy był na górze pod rozmaitemi pozorami, choć się zarzekał po pierwszej wizycie, że noga jego u Pawłockich nie postanie.

Ciągle tam z książkami zachodzi, ale teraz już po jednej je zanoszą, aby miał pretekst częściej bywać.

Nabrał nagle dziwnego zamiłowania do introligatorstwa i ot, tak sobie, dla zabicia czasu, aby coś przecie umieć i czemś się zajmować, napomknął kilka razy staremu Pawłockiemu, że miałby wielką ochotę nauczyć się oprawiania książek.

Cóż to dziwnego?... Ludwik XVI-ty, czy któryś tam z francuzkich królów bawił się ślusarstwem, czemuż on, Gajski, nie może się bawić introligatorstwem?..

Pawłocki się roześmiał i powiedział:

— E, co też panu po tem!.. odechce się panu po dwóch lekeyach. To ciężka robota, choć się lekką wydaje.

Genia oswoiła się z nim i coraz dłużej rozmawiają już z sobą o najrozmaitszych rzeczach, ale on jakoś tej swobody wobec niej nie może nabrać.

Ciągle sobie obiecuje, że kiedyś palnie jej *verba veritatis*, jednak do tego doprowadzić nie może—i daje się dziewczynie w każdej kwestyi pobijać.

A o Krempela stanowczo jest zazdrosny; chowa to w sobie, ukrywa, dusi coraz bardziej, ale jest zazdrosny i ta zazdrość, jak podeptana trawa, coraz bujniej się w nim rozrasta.

Teraz przybyła mu jeszcze jedna więcej szpilka, która go kole; spotkał któregoś dnia Genię na ulicy w towarzystwie Gucia Badera.

Któż nie zna Gucia!.. przecież to stały bywalec na balecie, który jest jego specjalnością. Jak nie w teatrze, to w cukierni z twarzą wlepioną w szybę całymi godzinami przygląda się przechodzącym kobietom i uśmiecha się do nich; dorożkami rozbija się po ulicach i zadaje gwałtownego szyku, usilnie stara się o opinią nadzwyczajnego pozeracza serc, który ma szalone szczęście do płci pięknej.

Niema takiej, eoby mu się oparła; niema takiej ładnej buzi, za którąby nie gonił i którejby nie znał.

Temu dopiero w głowie tylko same „spódniczki“ i same awanturki.

Ma przytem taki dziwny sposób obcowania z kobietami, jakgdyby każdą był zajęty i z każdą miał jakieś tajemnice. Jasny blondyn, z pulchną białą i różową twarzą, która przypomina cielecinę w mleku wymoczoną, z oczyma piwnymi, nosem zadartym, grubemi wargami o wąsach po kociemu w górę nastrzępionych; ruchy ma trochę rozchwiane, ciężkie, jakgdyby długi czas chodził na czworakach a teraz na dwóch łapach przyuczył się od niedawna utrzymywać.

Jest przytem cały dosyć okrągły i wypasiony, co u młodego człowieka przedwczesną skłonność do tuszy zapowiada; nosi się zawsze podług ostatniej mody, ale w szczegółach nawet zwykły kopionawac swoich eleganckich przyjaciół, którzy mu za wzór szyku i dystynkcji służą.

I w takim mają kochać się kobiety!.. z pierza dudek, z mięsa ciele.

Ale czy to można wiedzieć na pewno, co się kiedy kobietom podoba?.. a Tytania!.. nie zakochała się w osle?..

Wszystkie te uwagi przychodziły Gajskiemu na myśl, kiedy zobaczył Badera z Genią. Nie wiedział sam, dlaczego mu się to niepodobało; poszedł nawet w pewnem oddaleniu za nimi i widział, że ją Gucio aż do samej bramy odprowadził a przez całą drogę nachylał się nieustannie do niej i coś jej na ucho szeptał.

Patrzcie, to ona zna Badera, no, nol.. i pozwala mu się na ulicy przyłączać, odprowadzać do domu, pleść jakieś androny.

Zaszedł Gucioowi umyślnie drogę i zaczepił go, aby się coś dowiedzieć.

Od pewnego czasu zrodziła się w nim dziwna ciekawość co do panny Pawłockiej, która omal nie zakrawa na jakąś kontrolę jej stosunków, czynności, spędzania czasu w domu i poza domem. Wszystko chciał wiedzieć, wszystkim się zajmował.

— Cóż to pan za śliczną panią odprowadza-
łeś? — spytał niby od niechcenia Badera po przywitaniu.

Gucio mrugnął na niego tajemniczo jednym okiem, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i z zadowoleniem odrzekł:

— Cukierek!.. prawda?..

— Zdaje się; nie przypatrzyłem się dobrze. To pańska dobra znajoma?

— Dość dobra.

— Pan znasz wszystkie ładne panny w mieście.

— Panny i nie koniecznie panny...

Uśmiechnął się znowu, zadowolony tą indagacją.

— To moja znajomość ze ślizgawki, — dodał: — trzy miesiące ją tropiłem aż wytropiłem.

— Jakże się nazywa?

Bader uśmiechnął się, że mu dyskrecja nie pozwala zdradzać nazwiska.

— O, zaraz pan chcesz wiedzieć, jak się nazywa; to moja tajemnica.

— Nie nalegam.

— Nazywa się Genia, Geńcia P., więcej panu powiedzieć nie mogę. Warta grzechu, co?.. prawda?.. tylko mi pan w drogę nie wchodzi.

— Jaktó?..

— No, nie panu więcej nie powiem, i tak za dużo się wygadałem, — żegnał pana.

Uściskał Gajskiego za ramię powyżej łokcia i aby go bardziej zaintrygować, urwał umyślnie rozmowę, nadzwyczaj czegoś kontent z siebie.

Jakgdyby się obawiał, by więcej z niego nie wydobył ciekawy znajomy, śpiesznie wskoczył do stojącej dorożki i odjechał, odwracając się kilka razy z tym swoim głupekowatym trochę uśmiechem, do Gajskiego.

Te niedomówienia o kobietach, należały także do sposobów, jakimi wyrabiał sobie opinią „najszczęśliwszego zdobywcy“; robił się cudzym kosztem interesującym.

Nie pierwszy, — nie ostatni.

Gajskiemu jednak ta krótka rozmowa dała do myślenia.

Pierwszy raz obudziło się w nim coś w rodzaju podejrzliwości. Przypominał sobie nauki Grotwiczki, że wszystko na tym świecie jest tylko kłamliwym pozorem i nieczego nie można być pewnym.

— Koniowi, strzelbie i kobiecie, nigdy nie należy dowierzać, — powiedział raz stary Anastazy, wtrącając się do rozmowy panów swoich przy obiedzie.

Dyabeł nie śpi...

Kto tam wie, co taka znajomość z Baderem może pokrywać. Gucio nie kręciłby się obok ula, gdyby w nim miodu do podebrania nie było.

Alboż to Gajski sam nie widział takich „fałszywych świętych“ z twarzą Madonny, z miną niewiniątek.

To i cóż tego?... to jeszcze nie powód, abyś pana Genia...

— W gruncie rzeczy, co to mnie ma obchodzić? — przerywał sobie — niech się tam troszczy Krempel, to jego rzecz, on się w niej kocha, a nie ja; niech sobie jej pilnuje. Po co ja będę głowę sobie zawracał jego sprawami... Bader jest bydlę i basta. Podobają mu się, cukierek, smakuje mu?... niech sobie ją zje, a mnie niech tylko dadzą pokój. Potrzebnie mi się ta Pawłocka przypięła!.. także nie miałbym o czem innym myśleć.

Zły był na siebie, że go to zajmowało, ale zajmowało go ostatecznie, i to jak jeszcze!..

Przy najbliższej sposobności nie mógł wytrzymać, aby nie zapytać Geni:

— Pani dobrze zna Gucia Bader?

Patrzył przytem na nią z pod oka, jakby badając, czy ją to zapytanie zmiesza choć trochę.

— Tego blondyna?..

— Tak, tego, z którym panią spotkałem na ulicy?..

— To jemu Gucio na imię?... nie wiedziałam.

— Oho, zagaduje, — przemknęło Gajskiemu przez myśl podejrzenie.

— Zna go pani dobrze? — zapytał głośno, z jeszcze większą uwagą przypatrując się dziewczynie.

— Ni dobrze, ni źle, — odparła obojętnie.

— Gdzie go pani poznała?..

— Gdzie?... — odwróciła głowę i zdawała się przypominać sobie dopiero.

— Doprawdy już nie pamiętam. Ale dlaczego pan się o to pyta?..

Zachrzękał i zagryzł wargi; przewidziało mu się że się pod jego badawczym wzrokiem zarumieniła.

— Nie, tak tylko chciałem wiedzieć, — wybąkał.

— On taki śmieszny; — rzekła, musi być bardzo zarozumiały; zawsze mówi tylko o swoim powodzeniu u kobiet. Czy to naprawdę taki niebezpieczny człowiek, za jakiego się wydaje?

Wzruszył ramionami i jakimś suchym głosem odrzekł.

— Pani powinna to lepiej oceniać.

— Ja?... dlaczegoż ja?... ja tak mało znam pana Badera bliżej.

Gajskiemu się zdawało, że umyślnie, z naciskiem nawet wypiera się przed nim tej znajomości, aby tylko z siebie podejrzenie zrzucić.

— Wszystko na świecie jest tylko kłamliwym pozorem, — przyszył mu, jak przestroga, na pamięć słowa Zenona.

A że właśnie usiłował dążyć do poznania prawdy, przeto postanowił przez kilka dni ezatować na ulicy, czy nie spotka znowu Geni z Baderem.

Gdyby go tak kto zagadnął z nienacka, chodzącego pod parasolem po błocie, na deszczu, od jednego rogu do drugiego:

— I co ci z tego przyjdzie? — czego to udowodni?... choćbyś ich nawet dziesięć razy spotkał razem, to i cóż? — byłby nie wiedział jak się z tego wytłumaczyć i co odpowiedzieć.

Chodzi, jak sztyldwach i przygląda się każdemu mężczyźnie w meloniku na głowie, czy w nim nie rozpozna Gucia Badera, a każdej kobiecie, czy nie Genia. Upatrzył sobie że między nimi coś być musi, tak samo jak od razu zważał, że między Krempel a nią jest coś także.

Więc jakżeś dwóchby było?... a kto to wie, dyabeł nie śpi. Kobietom nigdy nie należy dowierzać.

Chodzi i przeczuwa swoje gorzkie, podejrzliwe myśli, zły na siebie, na deszcz, na ludzi, na tego bydlaka Badera i na tę śliczną Pawłocką, która mu coraz ostrzejszym klinem w głowę włazi, nie wiedząc nawet o tem.

Genia jednak ani myśli wychodzić z domu. Dziś rano zrobiło się nagle matce tak niedobrze, że na gwałt trzeba było posłać po jakiego doktora, bo Krempel nie można było nigdzie znaleźć, ani w domu ani w szpitalu.

Stary Pawłocki przywiózł doktora Szymkiewicza, który dawniej u nich leczył, a ten aż osłupiał, kiedy zobaczył chorą; zaraz ją zbadał, opukał, ostukał i głową przytem kiwał, pomrukując swoje: ho, ho, hol...

Zapisał jakiś środek wzmacniający i odchodząc, powiedział do Geni:

— Moja biedna pani, gdyby kolega Krempel uważał za potrzebne, abym należał do consilium, to proszę mnie uwiadomić, ale zdaje się, że się chyba już bez tego obejdzie.

Powiedział to jakoś tak dziwnie, że pod Genią aż nogi zadrzały; w oczach muszki zaczęły jej latać i musiała się oprzeć o ścianę.

Od dwóch godzin jednak Pawłockiej jest lepiej; środek poskutkował nadspodziewanie.

— Ten Szymkiewicz, to cudowny doktor! — powtarzają wszyscy za Genią w domu, która jest zachwycona wizytą starego Eskulapa i zaczyna sobie jego słowa wręcz przeciwnie teraz tłumaczyć, niż tłumaczyła je w pierwszej chwili.

Obejdzie się bez consilium, to znaczy, że się i tak poprawi; te mdości przemijające, to przecież nie groźnego, to ot tak sobie; przyszły i odeszły, chwala Bogu.

Po ogólnem zatwożeniu, wstępuje we wszystkich nowa otucha.

Dzieci mają jeszcze oczy i noski czerwone od płaczu, ale uśmiechają się już, stojąc pod ścianą-

mi i wpatrując się w chorą matkę, którą rozruszała, oddechowała, ocuciła Genia i próbuje feraz rozmaitemi figielkami rozweselić.

Jezu drogi, a przed dwoma godzinami, to się wszystkim już zdawało, że mamusia...

Ale co tam o tem wspominać teraz, kiedy jest lepiej. Na psa urok!.. jest tak dobrze, jak już dawno nie było. Zapewne choroba się przesiliła i niebezpieczeństwo całkiem minęło.

Toż się dopiero Krempel zadziwi, jak mu to wszystko opowiedział.

— No, nie smuć się już stary, obetrzyj oczy, — mówi Pawłocka do męża, całując go w czoło, swoim pocziwym, serdecznym głosem — weź kapelusz i pójdz się trochę rozerwać na miasto. Mnie już lepiej, całkiem mi dobrze, bądź spokojny. Idź, idź trochę między ludzi...

Wyprawia go tak zawsze, gdy jest słabszą, aby się nie truł bardziej jej cierpieniami i nie przestraszał napróżno.

— Gdzież pójde, kiedy deszcz?... — wymawia się stary.

— To niech ojciec weźmie parasol; ja i tak nie wychodzę nigdzie, — mówi Genia i obie z matką głaszczą go czule po twarzy.

— Idź stary, idź!..

Małemu Bogusiowi podoba się to, że tak ojca wyprawiają z domu, więc i on za matką i siostrą powtarza z dziecięcym śmiechem uparcie:

— Idź stary, idź!.. rozerwij się trochę. Ja tatce powiem — dodaje już od siebie, ciągnąc go za rękę ku drzwiom — ja tatce powiem, niech tatko pójdzie do cukierni i przyniesie dla Geni dwa ciastka, ale z kremem.

— A dla ciebie nie?

— Dla mnie nie.

— A dlaczego dla ciebie nie?

— A bo mi Genia da ze swoich.

Mówi to z takim przekonaniem i naiwną prostotą, że się wszyscy śmiać zaczynają a chłopak zawstydzony biegnie do siostry i na jej pierśiach kryje swą pokraśniałą twarzą, obejmując ją mocno za szyję rączkami, powalaniem zawsze atrymentem po każdej lekcyi kaligrafii, którą miewa z Genią przed południem.

Nareszcie uspakaja się wszystko w mieszkaniu Pawłockich; w powietrzu czuć jeszcze trochę eter, którym eucono chorą i zapach octu, którym nacierano jej skronie. Nic więcej po minionym ataku nie pozostało.

Dzieci wróciły do książek i robótki; zapowiedziano im, żeby cicho się sprawowały, bo mamusia teraz usnie; — rzeczywiście, chora zamyka oczy i trzymając zlekka swego opiekuńczego anioła za rękę, usypia powoli i spokojnie.

Ciemno już się zrobiło, zegar wybił godzinę piątą, przez okno niezastłonięte wpada mdły blask od podwórza, — Pawłocka w fotelu śpi...

Genia delikatnie wysuwa swą rękę z dłoni matki, wychodzi ostrożnie na paluszkach z pokoju, jak cień przemyka się przez salon bez szelestu i po cichutku otworzywszy drzwi do sieni, zbiega na pierwsze piętro.

— Jest pan doktor u siebie? — pyta Anastazego, którego głos dzwonka sprowadził z kuchni do przedpokoju.

— Jest.

— A pacjentów już niema?

— Nie, dzisiaj nie było wielu... niepogoda.

— Powiedźcie, że to ja i że się chcę widzieć z panem doktorem.

— Niech pani wejdzie; pan doktor jest w swoim gabinecie. Nie potrzeba meldować; tam i tak nikogo niema.

Genia wchodzi szybko, mija salonik przedzielający mieszkanie obu współlokatorów i zatrzymuje się przeddrzwiami Krempel, pukając do nich zlekka.

— Można? — pyta nieśmiałym głosem. Z wnętrza daje się słyszeć głos doktora:

— Bardzo proszę.

W tej samej chwili otwierają się drzwi z obu stron saloniku.

W jednych widać Adama, który z jakimś radośnym zdziwieniem wyciąga obie ręce ku swojemu gościowi i wprowadza go do swego gabinetu; w drugich ukazuje się głowa Grotwiczki wysunięta ciekawie zpoza portyery.

Od pół godziny Zeno siedzi już u Gajskiego i oczekując jego powrotu, zakopca mu mieszkanie fajką i wylegiwa się na ottomanie, spluwając bez ceremonii na dywan przed nią rozłożony.

Usłyszawszy kobiece kroki i głosik nieznanego w saloniku, wychylił głowę z ciekawości i spojrzawszy sam niespostrzeżony.

— Oho!—doktorek złowił sobie tę małą sikorkę, — mówi do siebie— pyszna historia!... a Sardana-pal, świętoszek, obłudna bestya!..

Niema wątpliwość, poznał Genię; widział ją dobrze przy blasku lampy, która się pali w pocekalni, a którą w tej chwili Krempel zabiera ze stołu i znosi do swego gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Grotowiczowi uszy urosły na pół łokcia; wycięza słuch, aby pochwycić choć kilka słów z rozmowy prowadzonej tam za ścianą, ma wielką ochotę podejść na palcach i przez dziurkę od klucza zaglądnąć, co oni tam robią?

Jest przekonany, że sobie Krempel urządził schadzki z tą małą; uśmiecha się złośliwie, jak Mefistofeles i stoi do połowy we drzwiach, zgasiwszy świecę w pokoju Gajskiego, aby go nie spostrzeżono przypadkiem, że podsłuchuje.

— Piękny mi rycerz, romantyk!—mruczy do siebie Zeno.—Poczekaj kanalio, będziesz ty mi jeszcze kiedy fimfy puszczał o godności kobiet. Dam ja ci zamykać się w cztery oczy z swojemi ideałami!.. Że ten idyota Franek włóczyć się musi gdzieś po mieście teraz, kiedyby miał taką poglądową lekcję moralności i honoru rycerskiego z łaski swego Adasial..

Za drzwiami słychać niewyraźny głos Krempela i Geni.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WĘDRÓWNE PTAKI.

(Dokończenie).

Najgłośniejsze dziś stanowisko wśród podróżniczek wszelkich narodowości zajmuje niewątpliwie pani Janne Dieulafoy, którą przywiązanie do męża skłoniło do towarzyszenia mu w dalekich wyprawach, z polecenia ministerium oświecenia we Francji podjętych do Persyi w celu odzależenia grobów Sassanidów. Aby ulżyć trudu małżonkowi, młoda i delikatna niewiasta zagłębiła się w Herodota, perskiego nauczyciela, języka, przyswoiła sobie arkana fotografii, i dzielnie uczestniczyła w męzkich badaniach i poszukiwaniach. Zostawiając mu dział ścisłej uczoneści, sama podjęła się codziennego spisywania wrażeń, wypadków i czynności, oraz illustrowania dalekiej wędrówki. Dokończone z rąk obojga małżonków wyszło dzieło, spopularyzowane pięknem a starannem wydaniem podróży po Suzyanie i Persyi. Nieraz czytelnicy się zdaje, że buja po zaczarowanej krainie *Tysiąca i jednej nocy*. Bystry i żwawy umysł pani Dieulafoy, jej zmysł spostrzegawczy, hart niewyczerpany, prostota czynu i słowa, barwność stylu, jaskrawość szczegółów, obok fotograficznych odbić i ilustracyj—wszystko to razem wzięte złożyło się w całość jedyną, zarówno przez uczonych, jak przez ogół czytelników cenioną. Dwukrotne wyprawy w głąb Iranu wślawiły tam imię i dzielność „młodego jeźdźca“, którego dzielna wytrwałość i odwaga cały kraj zdumiewały, począwszy od samego szacha, a kończąc na pięknych *khanum* haremowych, huryskach króla królów, które wpuszczały do zaklętych *anderunów* (serajów) śmiała Francuzkę, przebraną za chłopca dla dogodności podróży. Pałace Achemenidów, olbrzymie rzeźby skał Iranu, groby Kambizesów, wizerunki Cyrusa, mogiły znikłych dynastii, ślady Xerxesowych pułków, odzwierciedliły się w opisach i obrazach pani Dieulafoy. Nieustraszonej parze wielokrotnie śmierć już zaglądała w oczy; ale ostatecznie oboje małżonkowie wrócili zwycięzko, uginając

się pod brzemieniem zdobyczy i łupów archeologicznych, odstawionych do Luwru, tego śpichlerza sztuki i zabytków przeszłości. Znany w Warszawie przyboyczny lekarz szacha perskiego, dr. Tholosan, ułatwiał, o ile to było podobnem, trudne przedsięwzięcie i usiłowania państwa Dieulafoy. Kto raz zakosztował rozkoszy dalekich wędrówek, ten zwykł je ponawiać, i bardzo jeszcze być może, iż odważni małżonkowie na nowe puszcza się szlaki.

Włochy, dostarczające tak olbrzymiego kontyngensu emigrantów, niewielu imionami błyskają w dziedzinie podróży. Księżna Krystyna Belgiojosa, muza epoki romantycznej; pani Dora d'Istria, żeby użyć jej literackiego pseudonimu, zamiast właściwego nazwiska księżny Ghika-Massalskiej, —zostawiły po sobie niemały plon wspomnień podróży. Pierwsza, nieco poamatorsku wschodnie kreśliła obrazy, druga wyczerpująco *folk-lore* słowiańskich plemion południa zbierała. Obie zniknęły już z pocztu żyjących, a wśród współczesnych Włochy zaledwie poszczycić się mogą jedną śmiałą turystką, signorą Carla Serena, której król Humbert przyznał złoty medal za zasługi etnograficzne, położone na Kaukazie, sumiennie przez nią zwiedzonym i opisanym.

Rzeczywiście, podróż pani Sereny dostarcza mnóstwa ciekawego plonu, mnóstwa zajmujących wiadomości, między innymi co do położenia i charakteru niewiast w tej różnolitej strefie, gdzie niebotyczne góry, oddzielając murem granitu pojedyncze plemiona, wytwarzają mnóstwo różnic szczegółowych i odcieni etnograficznych. Gdziekolwiek myśl chrześcijańska się wdarła, kobieta podniosła wnet czoło i zrównała się z mężczyzną. Owszem, siłą woli, tameczne góralki nieraz przerastają małżonków. Stara ballada opiewa, iż łatwo żelazną sztabę przegryźć zębami, łatwo rzekę wypić, łatwo górę przenieść: trudno tylko wolę kobiety przelamać. Sławna w XII wieku królowa Tamara czczoną jest dotąd niemal jak bóstwo w krainie niegdyś jej berłu podległej. Opiewał jej dzieje, urodę i zasługi poeta Rustaveli, Homer Georgii. Podziśdzień księżniczki z rodu Dadianów znaczący wpływ wywierają na swych rodaków.

Niemki, mniej skore do odbiegania własnego ogniska, domowej kuchni, a przedewszystkiem domowego prania, urastającego w obrzęd niemal religijny, mało też dostarczają głośniejszych turystek. Wszelako Austria chlubi się nazwiskiem, starczącym za wiele, bo kto nie słyszał o pani Pfeiffer? Drobną ta istota, schudzona i pochylona przez wiek, o siwych puklach, starannie ułożonych pod białym czepeczkiem małej mieszcanki, miała w sobie duszę mężką, namiętną żądę nowych i nieznanych wrażeń, prawdziwy geniusz podróży, zaostrzoną zdolność obserwacji, żelazną wolę, pogardę niebezpieczeństw, graniczącą niemal z szaleństwem. Wychowana wśród sześciu braci jak chłopiec, karnie i twardo, ciężkie miała i bezbarwne życie. Krzepiła ją jakaś tajemna nadzieja, iż błysnie dzień, w którym się jej widnokrąg rozszerzy cudownie. Gdy w 46-ym roku życia, sprostawszy wszystkim obowiązkom żony i matki, mogła sumiennie pofolgować swej wędrównej żyłce, rozpoczęła szereg podróży, które trwały od r. 1842 do 1858, czyli do jej zgonu. Tyle tylko zażywała spoczynku, ile go było trzeba, aby wnieść jaki porządek w doryweże zaznaczenia, wydawać swe wspomnienia z podróży i sprzedawać przywiezione z sobą zbiory. Nie była bogata, ale twarde początki zaprawiły ją do oszczędności i znoju. Niebawem nazwisko jej stało się głośnie, a każde nowe wydawnictwo przymnażało jej sławy. Najpierw odbyła pielgrzymkę do Ziemi Świętej, następnie objechała „dokoła świat cały, wkroczyła później do Persyi i Mezopotamii, drugi podjęła objazd na około ziemi, nareszcie wybrała się do Madagaskaru, gdzie, utraciwszy resztę zdrowia wśród moczarów olbrzymiej wyspy, wróciła do Wiednia, aby wiecznego zażyć spoczynku, którego nie zaznała, bo nawet nie pragnęła za życia. Dostarczyła ona niemałego plonu Niemcom w Berlinie, Wiedniu i Londynie, posiadała zaś nieocenioną zaletę rzetelnej prawdomówności, brzydzącej się przesadą i kłamstwem. Świadectwu pani Pfeiffer śmiało zawierzyć można: inni podróżnicy świetnością opisów ją zaemili; żaden jej nie

dorównał pod względem prawości i uszanowania prawdy. Alexander Humboldt w wielkiem miał poważaniu zacząć podróżnicę, a przyjaźń jego była niezawodnie jedną z rozkoszy późniejszego życia pani Pfeiffer.

Hollandya chlubi się rzewną i zajmującą postacią panny Alexandryny Tinne, która należy do rzędu najsmielszych wieku naszego turystek. Urodzona w 1835 r., w Hadze, całe—życie poświęciła sprawie, która znalazła oheenie w osobie kardynała Lavigerie najdzielniejszego rzecznika. Smukła blondynka, o wiotkiej kibici i nieopisanym wdzięku, ogólną budziła sympatya i zajęcie, nie tylko w Europie, lecz i w Afryce, gdzie jej orędownictwo w sprawie zniesienia niewolnictwa wywoływało rzewną wdzięczność i przywiązanie. Ludność miejscowa chciała ją ogłosić królową Sudanu. Zrazu inne obiegała kontynenty, ale nad Australią i Amerykę rychło ją Afryka zajęła i przykuła. Osiedliła się w Kairze, skąd z matką coraz-to w głębsze zapuszczała się strony. „Już jako dziecko—mawiała,—kiedym uczyła się geografii, pustki środka Afryki uderzały mnie na mapie i odtąd jak śma do światła wracałam wciąż, przynęcana tą białą, tajemniczą plamą.“ Walczyła słowem, piórem, majątkiem z plagą niewolnictwa, wraz i postępami wiedzy pilnie się zaprzątając. Klimat zabójczy rychło ją osierocił: matka umarła w czasie jednej z wycieczek ku krainie Niam-Niamów. W kilka lat później i panna Tinne, która nie ustawała w zapale i coraz-to nowe podejmowała wyprawy, padła pod razami Tuaregów, którzy wymordowali karawanę, dzielnej Hollenderki. Przez lat czternaście, do 1869 r., nie szczędziła ona trudów i kosztu, aby zdobyczami nauki i podbojem sprawiedliwości służyć ludzkości wytrwale, i za umiłowane sprawy dać ostatecznie życie.

Na tej uroczej postaci zamknijemy szereg wizerunków kobiet podróżujących, które się wślawiły w literaturze i złożyły dowody śmiałej odwagi i wytrzymałości. Oczywiście nie licznym jest ich poczet, niewielkim zdobycze w porównaniu z plonem przez mężczyzn przyniesionym do ogólnoludzkiego śpichlerza wiadomości i wiedzy. Z istoty rzeczy, z ustroju własnej swej natury, nie mogą kobiety zrównać się z mężczyznami na tem polu, wymagającym niezwyklego zapasu zdrowia, siły i woli. Najczęściej też, jak widzieliśmy powyżej, szlachetna chęć uczestniczenia się z ukochanym wiedzie je na dalekie szlaki uciążliwych wypraw. Nasza Hajota-Rogoznińska, podobnem wiedziona uczuciem, jest bodaj pierwszą z Polek, której imię w rocznikach podróżniczych silniejszem zabłyśnie światłem. Zasługi podróżniczek—kobiet, występują głównie w stosunku do niewiast Wschodu, które raz po raz ulegają wpływowi zachodnim, wnoszącym nieco oświaty i powietrza w duszne komnaty haremów, *zenanów* i *auderunów*. Pod tym względem wędrówne ptaki Europy są może przesłankami ruchu pełnego doniosłości i znaczenia, zasługującego na jak najgorętsze poparcie. Zamiast się rwać do mrzonek emancypacji i jakiegoś dziwaczego równouprawnienia, córy starej Europy, niemające nic do spełnienia we własnym kraju — lepiej by zrobiły, poświęcając swe zabiegi i orędownictwo sprawie wyswobodzenia sióstr swoich w Indjach, Persyi i na całym Wschodzie—sióstr, które giną w poniżeniu i niewoli, a nawet w rodzinie własnej nie dobiły się należytego stanowiska. Piękniejsze stokroć cele, wznioślejsza krucjata otwiera się tam żadnym czynu i wpływu umysłem i sercem niewieściem. Niechby się zadowolniły tem, co mają same, a nie kusząc się o nowe i niedościgłe dla siebie przywileje, raczej podały rękę wydziedziczonym, przyspieszając na całym świecie jedynie pożądane i prawdziwe równouprawnienie — chrześcijańskie.

M.

Kronika działalności kobiecej.

— Hafty ręczne, pochodzące z prywatnych pracowni w Moskwie, znalazły w Paryżu zbyt po cenach zadawalniających. Szczególniej są poszukiwane hafty złotem i srebrem w średniowiecznym stylu bizantyńskim.

— Warszawska Rada Miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła legat, uczyniony przez s. p. Natalią Misiewicz, przeznaczający: dla domu schronienia Przytuliska 1.000 rs., dla Schronienia Nauczycielek 1.000 rs., dla Towarzystwa opieki nad biednymi matkami 1.000 rs., dla szpitala dla dzieci przy ulicy Alexandryi 2.000 rs. S. p. Emilia Załęska zapisała ostatnią wolą swoją, sporządzoną w 1880 r. dla kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie, oraz dla kościoła Panny Maryi na Nowym Mieście po 1.000 rs. W kodycyli z 1885 r. zapisała na kościół Ś-go Jacka, po-pauliński, rs. 300. Hr. Hermaneya Uruska zapisała 500 rs. na Przytułek dla paralityków i nieuleczalnie chorych.

— Dyżury przy wydawaniu herbaty dzieciom w ochronie imienia s. p. ks. Baudouina spełniają p. p. Bronisława Sulatycka, hr. Marya Rostworowska, Wanda Chruszczakowska i Joanna Rychter.

— Kosztem ofiarowanych dobroczynnie przez p. Maryą Wołowską rs. 100, wydawane są na Szmulowiznie obiady bezpłatne dla ubogich.

— P. Zofia Kryńska otrzymała nominację na nauczycielkę w Instytucie Głuchoniemych. W instytucie tym, który właśnie obchodził rocznicę swego założenia, p. Marya Domańska pełni obowiązki nauczycielki lat 29, starsza gospodyni p. Wiktorya Stefan lat 25.

— P. Berta Niezel, mieszkanka Brześcia Lit., licząca lat osiemnaście spełniła w d. 24 Sierpnia b. r. czyn szlachetnej energii i dobroci serca. O godzinie czwartej rana została przebudzona ze snu głosem, wołającym pomocy a brzmiałym tak, jak gdyby wychodził z podziemia. Nie ulegająca przestraszona a powodowana szlachetnym uczuciem dobrego serca wyskoczyła natychmiast z łóżka, wybiegła na podwórze, a wtedy poznała, że głos wychodzi z bardzo głębokiej studni, w której ujrzała już głowę tylko znanego jej starca, liczącego około lat 70. Energiczna i nietracąca przytomności umysłu pobiegła po drabinę, znajdującą się w pobliżu, wołając jednocześnie na służącą, aby podała jej deskę, którą przesunowawszy przez szczeble drabiny, oparła o krawędzie cembrowania studni. Opuściwszy drabinę w jej głąb, wzywała zarazem nieszczęśliwego starca, aby uchwycił się jej szczebla i wydostał za jej pomocą z wody, jak też uczynił, zawdzięczając życie swej szlachetnej, energicznej i zadziwiająco przytomnego umysłu wybawiciela, bo nie mogąc się uciepić ścian cembrowiny studni już był dwa razy pod wodą. Dodać trzeba jako rys charakterystyczny, że obok uczuwanej wdzięczności markotnym on był, że przy tej dzielnej akcji ratunkowej stłukła dzbanek, z którym przyszedł po wodę. Ale kto spełnić potrafi taki energiczny czyn miłości bliźniego nie potrzebuje już dzięków niezycich, bo duch jego pełen słodkiego zadowolenia, pełen radości wewnętrznej, odbiera nagrodę wyższą, niż wszystkie medale enoty Montyona.

— Dwie kobiety samotne, wdowy: Józefa Korotyńska z Czerwonego Boru w okolicach Łomży i Ewa Szymankieczowa, mieszkanka tegoż miasta, nie mogąc rozporządzać znaczniejszą sumą pieniędzy zbierały przez lata długie grosz do grosza na podróż do Ziemi Świętej, którą w bieżącym roku odbyły. Patniczki wracając z powrotem przejeżdżały przez Warszawę.

— Zaczna filantropka p. W. zamierza wznieść w mieście naszym zakład dobroczynny: schronienie dla szwaczek podeszłego wieku, lub wycieńczonych pracą, która przykuwając je zwykle dzień cały do mozolnej roboty, nie opłaca się przecież niemal nigdy tak, aby poza opędzeniem potrzeb

życia, bynajmniej nie wykwińskiego, mógł się zbierać jakiś zapasik na czarną jego godzinę, na starość. Przy wielkiej liczbie tych pracowni igły cena ich pracy jest zwykle tak niską, że najskrzętniej zbierane oszczędności nie mogą wytworzyć sumki, zabezpieczającej przyszłość, a cóż dopiero jeżeli ta nieboga potrzebuje dzielić się groszem swoim ze starymi rodzicami, jeżeli ma dzieci? Siedząca, wyczerpująca, bo ciągła praca, przy pożywieniu zwykle nie zbyt posilnem, a często bardzo skąpem, podkopuje organizm, a nieraz brakuje i tej pracy, co jest koniecznym następstwem zbyt wielkiej liczby garnących się do niej. Schronienie, wzniesione przeważnie kosztem p. W., mieścić będzie początkowo pensyonarek dziesięć, trzeba przecieżyć żywić nadzieję, że znajdą się osoby, współczujące z tym dobroczynnym zamiarem, które wezmą w nim taki udział, aby Schronienie mogło rozszerzyć przystań swoją dla tych biednych rozbitków życia.

— D-r M. Stefanowska przełożyła z francuzkiego popularny podręcznik astronomii, dzieło Flamariona, pod tytułem: *Niebo*. Tłómaczka dała na końcu oryginalnie przez nią skreślony rozdział. Książka wydana nakładem Gebethnera i Wolffa.

— P. Zofia Stankiewiczówna nadesłała na wystawę Tow. Sztuk Pięknych dwa krajobrazy większych rozmiarów.

— P. Ludwika Wiesiołowska a obok tego kilka innych malarek naszych otrzymało z Chicago zaproszenie do wzięcia udziału w wystawie, w oddziale pracy kobiecej.

— Powieść p. Maryi Rodziewiczówny „Między ustami a brzegiem pułahu“ została przełożona na język czeski i drukuje się w czasopiśmie „Politik“.

— W Wiedniu stowarzyszenie kobiece z celem rozszerzenia nauki, więc umysłowego wykształcenia kobiety, założyło szkołę dziewcząt, odpowiadającą programem swoim wykładowi nauk w gymnazyach chłopców. Szkoła będzie mieć klasz sześć, a klasa jej pierwsza będzie jakoby dalszym ciągiem nauki, wykładanej w istniejących już szkołach dla dziewcząt. W bieżącym roku otwartą została tylko klasa pierwsza i dopiero z kolejną lat będą otwierane klasy następne. Zapisano się do szkoły uczennice 31, uczęszcza przecieżyć tylko 30 w wieku od lat 14 do 16, gdyż jedna odpadła przy egzaminie. Naukę wyklada siedmiu profesorów gymnazyalnych, zatwierdzonych przez rząd; gymnazyum to przygotowuje uczennice do słuchania wykładów uniwersyteckich.

— Odbyło się w Paryżu zebranie kobiet zajętych w sklepach: „sklepowych“. Zgromadziło się tu przecieżyć kobiet tylko 250, mężczyzn zaś 2.000. Leonia Rouzade domagała się osobnego sendykatu dla sklepowych, któryby powstrzymał sprawę, jakie tu podnieść się mogą i powinny, a z pomiędzy których jedna została zaraz poruszona przez Myrtylię Reugnet, a to wkroczenie mężczyzn w te gałęzie pracy, które należą do kobiety i jej oddane być powinny wyłącznie, jak na przykład obsługa sklepów z towaram na użytek kobiety i rodziny, która ze wszech względów należy do niej powinna. Zoromadzenie postanowiło wnieść petycję do parlamentu o ustanowienie obowiązujących godzin pracy kobiecej, nie wyżej nad ośm, oraz zapewnienie pracującej odpoczynku niedzielnego.

— Uniwersytet w Cambridge przyznał najwyższą nagrodę miss E. Red za rozprawę konkursową z zakresu etyki, jakkolwiek znaczna liczba osób stanęła do konkursu.

— Miss Marya Conybeau objeżdża fabryczne miasta Anglii, wygłaszając tam bezpłatne prelekcje o potrzebie ustanowienia inspektorek fabrycznych, któreby czuwały nad pracą kobiet i dzieci — nad wykonywaniem ścisłem praw, jakie w zakresie tej pracy posiadają moc obowiązującą. Inspektorki te mieć powinny głos w sprawach wszelkich zatargów między robotnicą a zarządem fabryki.

— Dwie chrześcijańsko bohaterskie Angielki, siostry Keneale: Anna i Henryka, dowiedziawszy się z pism, że nagły wybuch cholery w Hamburgu zastał miasto mało przygotowane do walki z epidemią, że zwłaszcza lud ubogi pozbawiony jest tej

opieki, która jedynie zapewniona mu być może przez troskliwość czuwającej przy jego łóżku kobiety, odważnie udały się do nieszczęśliwego miasta i przez trzy tygodnie przebywały w miejskim szpitalu cholerycznych, Eppendorfer Hospital, przepędzając tam dnie i noce. Były takie chwile srożące się epidemii, że praca pielęgowania chorych nie pozwalała im na odpoczynek nie tylko w ciągu dnia ale i w nocy. Nie one same, ale świadectwa doktorów miejscowych wykazały, że nieraz przepędzały w szpitalu po dwadzieścia cztery, a nawet trzydzieści sześć godzin, wśród których tylko konieczna potrzeba dorywczego przespania się i pożywienia, oddalała je z posturunku, wymagającego wyższej odwagi, wyższej siły ducha, niż potrzebuje jej żołnierz na polu bitwy. I nie byłyby usunęły się z niego przed czasem, ale rozpoczynające się w Londynie lekeje w szkole pielęgowawczek chorych: „Nurses School“, gdzie były nauczycielkami, nakazały im to. Starsza z dwóch siostr, Anna, jest już kobietą lat średnich, ale młodsza, Henryka to młoda i bardzo wdzięczna dziewczeczka z niezmiernie miłym wyrazem drobnej twarzyczki, uśmiechniętej i wesołej, jak to pokazują podobizny zdjęte z obydwóch siostr w Hamburgu przed ich wyjazdem do Anglii. Żegnał je wtedy wredyście prezydent miasta, żegnała je deputacya lekarzy hamburgskich, a do parowca odprowadziło je wielu znakomitszych mieszkańców miasta i komitet pań.

Jest jeszcze siostra trzecia, najstarsza, Arabella, poświęcona zawodowi lekarskiemu. Miss Anna słysząc z jej ust, jak osoba pilnująca chorego ma udział znaczny w zwaleniu choroby, jak lekarz nigdy tu nie poradzi, gdy brakować będzie przy łóżku boleści osoby nie tylko pieczołowitej, ale odpowiednio do czuwania nad chorym uzdolnionej, poświęciła się zawodowi jakoby świeckiej siostry miłosierdzia, a młodsza siostra pociągnięta została jej przykładem. Obie nie poprzestają jeszcze na tem, co zawód ich pozwoli im zrobić dobrego, objeżdżają one jeszcze oddalone od miast większych okolice kraju i miewają odczyty bezpłatne z zakresu higieny, pielęgowania chorych. I obecnie jako na wypoczynek po trudach przebytých, udały się na objazd oddalonych od ruchu kolei górskich okolic Anglii, pełniąc misję prawdziwie chrześcijańskiego miłosierdzia, chrześcijańskiego poświęcenia.

— Zawiazało się w Ameryce w Filadelfii, towarzystwo kobiece z celem czuwania nad wychowaniem młodych dziewcząt, aby nie emancypowały się zanadto, nie usuwały się zbyt wcześniej z pod posłuszeństwa i opieki macierzyńskiej, bo niedoświadczone mogą nieraz zwichnąć sobie życie przez krok nierozważny, od którego uchroniła by je pieczołowitość opieki macierzyńskiej. Stojąca na czele Towarzystwa, Mrs Alanowa Perkins jest matką trzech córek, wychowywanych według tych przekonań matki, z których dwie wyszły już żamą i to w bardzo młodym wieku, jakkolwiek rodzina nie jest bogatą i posagi nęci tu nie mogły. Nęciła skromność dziewczęca, nęciła kobiecość ta łagodna, której potrzeba, aby związek małżeński zapewniał mężczyźnie szczęście a kobiecie tkiwą miłość męża, jaką rzadko kiedy budzi emancypantka, wywołona z tych cnót niewieścieści, z tego niewieściego wdzięku, który pociąga mężczyznę, może przez siłę kontrastu, a następnie zapewnia w małżeństwie szczęście obojga, przez ułożenie się ich wspólnego życia do należnej równowagi.

POMYŁKA EWUNI

SKIC POWIEŚCIOWY

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

Eweia była ulubienicą wszystkich. Wesoły jej charakter, niewyczerpana dobroć serca i miłuchny

pieszczotliwy układ jednały jej sympatyą ogólną. Patrząc na tę czerwoną wiosnę wdzięków i uroków, na tę krew młodą, jakby wrzątkiem w żyłach kipiącą, starsi odmładzali się jej widokiem, uśmiechali do niej przyjaźnie.

Młodzież szalała za nią.

Słowo jej każde było wyrokiem, prośba—rozkazem.

Nie bawiono się, gdy jej nie było.

Była młodą i piękną.

Smętne jej oczy patrzyły na świat pytająco, a dziwne to były oczy.

Trudnoby je było nazwać pięknymi w szerokim tego słowa znaczeniu, a jednak słodkich uroków pełne, nadawały twarzyczce młodej dziewczyny jakiś odrębny wyraz i sprawiały, że kto raz spotkał się z ich głębokiem a ciekawem spojrzeniem, sam zaciekawiony badać je zaczynał, pomimowolnie stawiając sobie pytanie: jakie też to myśli roją się w tej pięknej, ciemnowłosej główce?

Czyżby przeczuła, że życie kobiety łączy i cierpieniem się znaczy? Że świat, tak ponętnie wabiący ją teraz ku sobie, rozwieje wkrótce złote sny jej dni wiosnianych?...

Tymczasem dziewczę ma lat szesnaście. Nieokreślenie wdzięczna i miła, z leniwymi ruchami pieszczonej koteczki, z rozkosznym na ustach uśmiechem, spoczywa na szmaragdowym łąki kobiercu, a błękitne niezabudki i złote dzwonce tworzą nad jej głową wonną koronę.

Cicho tu i spokojnie.

Ptaszki nawet, upałem zmęczone, przycichły w gestwinie; wpół przymknięte oczy dziewczyny ślizgają się po modrej fali zaledwie o kilka kroków płynącej rzeki.

Tak jej tu dobrze, tak miło, taka szczęśliwa, że udało jej się wyrwać z kółka otaczających ją osób, więc się lubuje swoją samotnością i ciszą.

A taką śliczną, harmonijną tworzą całość: ta łączka zielona, kwieciami różnobarwnem utkana, modremi falami rzeki przecięta, i ta dziewczyna, świeża jak wiosna, wpół senna i rozmarzona, że dziwić się nie możemy, iż patrzącemu z cieniściego gaju z łączką sąsiadującego, mężczyźnie, nie chce się wyjść ze swego ukrycia, co nam pozwała i o nim słów kilka powiedzieć.

Brzydki był i niesympatyczny.

Nizkie czoło, ryżawego koloru, włos gęsty nos duży, policzki nieco zapadłe przy cerze bardzo bladej, niemile wywoływały wrażenie

ledwo wysypujący się nad wierzchnią wargą meszek okalał wązkie usta; oczy jedynie duże, piwne, ze złotawym odbłaskiem, nadawały całej twarzy myślący, inteligentny wyraz.

Cała fiziognomia, o ile na pierwszy rzut oka wydawała się brzydka, zyskiwała niesłychanie przy bliższym poznaniu.

Gdy uśmiech rozjaśnił tę twarz surową, miłe jakieś wrażenie ożywiało rysy, brzydota nikła i wtedy ów brzydki wydawał się bardzo sympatycznym.

W spojrzeniu, jakim obejmował dziewczynę, było tyle tkliwości i serdecznego ciepła, że nie trudno było zgadnąć, iż ona wyłącznie i niepodzielnie nad sercem jego panuje.

Przedłuższy swoją kontemplacją, o ile się dało najdłużej, powolnym krokiem, jakgdyby chciał, aby mu ten widok jak najdłużej wzrok pieścił, zbliżył się do dziewczyny.

— Panno Ewo—rzekł cichym głosem—panno Ewo, mama jest niespokojna i pyta o panią. Czy wolno mi przypomnieć, że już dość długo rozkoszowałaś się pani samotnością, a nam sprawiałaś przykrość, pozabawiając swego widoku. Mama jest niespokojna—powtórzył dobitnie, jakgdyby bał się odpowiedzialność brać na siebie, że jej *dolce farniente* przerywa.

Wpół przymknięte dotąd oczy dziewczyny rozszerzyły się i strzeliły ku przybyłemu gniewnemu spojrzeniem.

Uniosła się nieco ze swej wonnej pościeli, zerwała pęk kwiatów i traw obok rosnących i z najobojętniejszą minką jąła z nich układać wianuszki.

Nie zdawała się zwracać uwagi na stojącego przed nią biedaka, co zapatrzony w czarodziejkę,

zapomniał o celu, z jakim od dwóch godzin szukał jej wszędzie.

Zapomniał tak dalece, że dziewczę, znudzone wreszcie jego milczeniem, spojrzęło na niego, a jednocześnie srebrzysta gamma śmiechu oblała się o uszy zapatrzonemu w nią młodzieńca.

Drgnął i pobladł; zębami przygryzł wargę niemal do krwi, na czoło mu głęboka wystąpiła bruzda.

Ta jedna chwila zmieniła go do niepoznania.

Niewyraźna fiziognomia ożywiła się, piwne oczy cisnęły iskrami, burzliwy, namiętny charakter przebijał w każdym rysie brzydkiej, ale wyrazistej twarzy.

Ewecia nie patrzyła już na niego.

— Czy długo jeszcze będę wzbudzał w pani śmiech szyderycy?—przytłumionym głosem zapytał.

Oczy jego, już nie gniewne, ale wyrzutu pełne, zatrzymały się na ożywionej figlarną wesołością twarzyczce dziewczyny.

— Och, nie—odparła niedbale.—Mam nadzieję, że już wkrótce znudzisz mnie pan zupełnie i twoje płaczliwe miny bawić mnie przestaną. Ale proszę, powiedz pan: kto ci pozwolił szukać mnie aż tutaj i ścigać jak cień, czego, wiesz dobrze, cierpieć nie mogę?

Rzucając niedbale te bezlitosne słowa, młoda dziewczyna zerwała się żywo i z nadąsaną minką stanęła przed młodzieńcem cała w blaskach południowego słońca, sama jak promień słoneczny jasna i wesoła, i dumnie obrzuciła go spojrzeniem.

Po chwili jednak twarzyczka jej z figlarniej stała się smutną, w oczach odbił się wyraz żalu i, wyciągając obie ręczki do zapatrzonemu w nią smutno mężczyźnie:

— Przebac mi, panie Stefanie—szepnęła prosząco.—Nie chciałam cię urazić, tylko, jak wiesz, prędką jestem i niegrzeczną, ale pan się nie powinieneś gniewać na mnie, bo... ja pana bardzo, bardzo lubię. Najlepiej wtedy... gdy jesteś zdaleka—dorzuciła niepomahowana śmieszka.

Rozjaśniony poprzednimi jej słowami wzrok młodzieńca, spochmurniał znów nagle... Głos ciężko smutny powtórzył: „Lubię cię, gdy jesteś zdaleka.“

— Tak. Wiem o tem. Bezustannie mówi mi o tem postępowanie pani. Jednak tak mi trudno, tak niepodobna prawie zadowolnić panią pod tym względem. Myśl moja goni za tobą wszędzie, serce uparcie domaga się od ciebie odrobiny chociaż zyczliwości, Królewsko wspaniałości dla innych, dla mnie tylko skąpą jesteś i nielitościwą. Gdybym mógł posadzić cię o brak serca i uczuć, gdybyś była zimną i nieczułą, prędkiej z zaczarowanej krainy mych marzeń wyrwać bym cię potrafił. Powiedz mi pani, powiedz szczerze: czy wstręt, jaki budzę w tobie, tak jest silny, że nawet anielska dobroć twego serduszka zwalczyć go nie może? Powiedz, czy to brzydota moja tak cię przestrasza, czy może w charakterze odkryłaś jakieś skazy, co rażą czystą twą duszyczkę? Ewuniu, marzenie moje od chwili, gdyś jeszcze, dzieckiem będąc, ciekawemi oczkami patrzyła na mnie, gdy na wakacje do was przybyły opowiadał ci o cudach przyrody, a ty, zaciekawiona, zasluchana, szeptałaś bezwiednie: Mów, o mów jeszcze, tak lubię cię słuchać, tak mi dobrze z tobą... Czyż nigdy, nigdy już nie usłyszę od ciebie tych słów rozkosznych? Nigdy oczy twoje, te cudne, błękitne oczy, co mi świeciły w ciągu lat kilku złudną szczęścia nadzieją, nie obdarzą mnie słodkiem spojrzeniem, usta nie wymówią wyrazu, za usłyszenie którego rad-bym życie poświęcić? Ach, gdybyś wiedziała... gdybyś odczuć mogła, jak bezgranicznie...

— Nie kończ pan—zawołała. Brzemienne łzami oczy podniosły się na niego z niemym wyrzutem.—Nie kończ, bo ja nie chcę usłyszeć od pana tego słowa, o którym tylekroć marzyłam. Cenię twój charakter, schylam kornie głowę przed twą wiedzą, jestem ci prawdziwie i szczerze życzliwa; ale nie żądaj, proszę, tego, czego serce moje dać ci nie może. Niedawno, przed chwilą jeszcze, nim głos twój zbudził mnie, ja także marzyłam. Myśl moja płynęła z falami rzeki daleko, daleko... serce wzbierało całą pełnią różno-

rodnych uczuć i tłukło się w piersiach jak uwiecznione ptaszę.

Może chwila mego przebudzenia bliska, może niezadługo to słodkich tajemnic słowo obje się o uszy moje, by mnie odurzyć ogromem szczęścia, lub zdruzgotać nazawsze... ale Stefanie! daruj mi boleść, jaką ci sprawiam: usta, które je wyrzekną, nie będą twojemi... oczy, które wówczas w moich zatona głębokiem, kochającym spojrzeniem, nie będą patrzeć na mnie tak, jak twoje patrzy. Czyż ci tak trudno, znając mnie od dziecka, zbadać mój kapryśny charakter?

Czy tak trudno pojąć: że ten, co pierwszy duszę ma z uspienia obudzi, nie pokorą i uległością do stanie się do niej.

Mnie trzeba zwalczyć, ugiąć, nim się zwycięży a gołębia twoja uległość litość ma tylko wzbudza. Przebac, o! przebac tę ostrą prawdę, którą ci rzucam otwarcie.

— Nie mogę przecież ludzi cię nadzieją.

— Wszak mi przebacysz, Stefanie?

— Przebacysz i zapomnisz—dodała, kładąc rękę na jego ramieniu i patrząc w oczy pełnem słodyczy spojrzeniem.

— Ewunia prosi!...—szeptały drżące usteczka.

Jemu fala krwi rzuciła się do czoła, pierś gwałtownym podniosła się oddechem, z zacisniętych ust żadne nie wyszło słowo.

Czemuż, ach czemu błękitne źrenice nie zwróciły się wtedy bacznie ku niemu?

Czemu dobra jaka wróżka nie poszepnęła jej, że to ten wzgardzony i odepchnięty jest właśnie jedynym, jakiego pożądała.

On tylko potrafiłby ująć w karby kapryśny jej charakter, on, otoczywszy miękkim kochającym ramieniem, mógł dać jej niebo, o jakim marzyła.

Ale ją znużyła już widać chwila obecna, czy wymarzony obraz ukochanego wywoływała z oddali, bo w dal zapatrzona, utonęła w głębokiem marzeniu.

Oczy Stefana podniosły się i spoczęły na niej z okropnym wyrazem bólu i rozpacz.

Patrzył długo na tę śnieżystą białą twarzyczkę, łagodnym profilem zwróconą ku niemu, jakgdyby chciał obraz jej wyrzeć sobie w duszy na wieki.

Ciężkie westchnienie ulżyło ściśniętej piersi.

Spokojnym, choć nieco drżącym głosem zapytał:

— Czy nie czas powracać p. Ewo?

— Mama teraz już naprawdę niespokojną będzie, bo nieobecność nasza trwa za długo.

Ewecia odwróciła się szybko.

— Chodźmy p. Stefanie—zawołała,—ale prędko. Wiesz przecie, że w niczem powolnego tempa nie lubię.

Poskoczyła żywo; wtem, w oczach mignęły figlarnie błyski, wesoły uśmiech okolił usteczka, pobiegła naprzód i w kilka chwil potem stała już w łódce, kłaniając się wiosłem, biegnącemu za nią Stefanowi.

— Addio, addio—wołała, odpływając od brzegu, śmiejąc się szalenie z jego przerażonej miny.

Rzeczywiście, brzydszym był w tej chwili więcej, niż kiedykolwiek.

Rzucił rękoma w powietrzu, latał po brzegu, szukając łódki; dziewczę tymczasem płynęło po modrej fali, nieświadome niebezpieczeństwa, jakie mu groziło.

Rzeka w tem miejscu była bardzo głęboka, w spruchniałej i zepsutej widać łódce coraz więcej przybywało wody.

Dziewczę zaniepokojone spojrzęło na dno łódki, objęło okiem przestrzeń, jaka je od brzegu oddzielała, przyjrzało się wodzie czarnej, kręcącej się szalonym wirem i trwogą zadrzało serce.

— Matko Boża, ratuj mnie!—szeptały pobladłe usta.—Ja się boję tej czarnej toni... boję się... Chcę wracać do domu, do mamy, wołała pieszczoła, zapominając, że życzenia jej, spełniane zawsze natychmiast, tu jednak niczem były.

Tajemnicza głębia chciała widocznie porwać dla siebie ten kwiateczek biały, bo wody przybywało, łódka chyliła się na bok, delikatne ręczki dziewczyny coraz słabiej uderzały wiosłem.

Nagle, poza nią ozwał się plusk wody i wkrótce potem ujrzała obok siebie łódkę i śmiertelnie blade oblicze Stefana.

Silne wzruszenie głos mu zatamowało, skiero-

wał łódkę ku brzegowi i strwożoną dziewczynę postawił na brzegu.

Zdawało się, że ujrawszy ją ocaloną porwie ją w ucisk namiętny i do serca sobie przytuli, bo ręce wyciągnęły się ku niej bezwiednie, w oczach palił się ogień gwałtownie hamowanej namiętności.

— Zamoczyłaś pani nóżki i zaziębisz się—rzekł wreszcie, troskliwie obejmując ją spojrzaniem.— Czy przelekłaś się bardzo, Ewuniu?

Nie nad to. Ani słowa wyrzutu, że szaloną nierozważą śmiertelnego nabawiła go niepokoju; ani słowa napomnienia, że tak niebacznie zaryzykowała dwa życia.

Ewunia podniosła główkę ku niemu.

— Jakto? Pan jeszcze dotąd, nie zalewasz się łzami? Nie pobiegłeś ze skargą do mamy i babci, nie wezwałaś na pomoc całego legionu ciotek, aby szanowne to gremium razem z tobą oplakiwało nierozważny mój postępek?...

No, no, to dziwnie!

Czemuż pan tak patrzysz na mnie? Cóż się stało?—Tupnęła nóżką niecierpliwie.—I pan żadasz, bym cię kochała—rzekła, patrząc drwiąco na niego.

Ależ ja nie znoszę, nienawidzę takich płaczliwych min.

Czy chcesz pan wiedzieć, jak postąpiłby wymarzony mój ideał?

Nie szeptałby pewno słodziutko: Ewuniu, Ewuniu i nie patrzył na mnie, takimi zażawionymi oczyma, ale, w żelazny uścisk ująwszy me ręce, z czołem groźnie zmarszczonym, z oczyma ciskającymi pioruny, powiedziałby mi:

— Pani! postępek twój jest szalonym. Żywość twoja niepoohamowana, czyni cię samolubną i złą. Lekceważąc życie swoje sprawiasz boleść matce i narażasz mnie na to, bym, ratując ciebie, zapomniał, że życie człowieka do wyższych celów należy.

Oto jakby mi powiedział mój wymarzony.

A ja wtedy, słuchając drgającego oburzeniem i gniewem głosu, cicha i pokorna, ślubowałabym w duszy poprawę i dotrzymała jej święcie.

Jaki pan jesteś brzydki w tej chwili—dodała, z poważnego tonu nagle w wesoły wpadając,—jaki brzydki!...

Śmiała się serdecznie, przyglądając mu się ze wszystkich stron, tak rozbawiona, jakby przed chwilą nie wabiła ją ku sobie toń czarna i tajemnicza, i szalona trwoga, jakiej doznała, znikła całkiem z jej pamięci.

— Czemu pan nic nie mówisz?—zagadnęła znów niecierpliwie.

— Wyglądasz istnie, jak żona Lotowa.

— Nudny jesteś i nieznośny! Wracajmy do domu. Głodna jestem, zmęczona... w dodatku znudziłeś mnie pan swoją osobą okropnie.

Mówiąc to, wsunęła mu rękę pod ramię, nie przeczuwając nawet: jakim bólem słowa jej w sercu się jego odbiły.

— W każdym razie dziękuję ci, panie Stefanie, żeś mi życie ocalił. Serdecznie dziękuję w imieniu mamy i tych, którym drogą jestem—rzekła pieszczotliwie garnąc się ku niemu.—Nieraz zastanawiałam się nad tem—ciągnęła dalej z poważną już miną—czem ja sobie miłość ludzką zjedynam? Kapryśna jestem i nieznośna, pieszczotami i pobjawieniem zepsuta. Sama z sobą poradzić sobie nie mogę; jakże więc trudno innym radzić sobie ze mną? Jak pan, na przykład, możesz ze mną wytrzymać, panie Stefanie? Jak ci się nie uprzykrza: mój niegrzeczny częstokroć sposób, w jakim myśli moje wyrażam, i ta ostra prawda, jakiej nikomu nie żałuję. Nie odpowiadasz pan? Czyżbyś się gniewał? Czy może uraziłam cię nierozważnym słowem, co mi się wprawdzie często zdarza, czego jednak bynajmniej nie pragnę? Będę się starała usilnie zawsze już być grzeczną. Nie powiem ni-

komu, żeś brzydki, nie będę zagłował po rzece w dna pozabawionej łódce. Tylko, wzamian za obietnicę, zrzuć pan tą płaczliwą maskę i pośmiej się ze mną wesoło. Czy zapomniałeś, że Ewunia nie lubiła nigdy smutnych twarzy?

— Bo Ewunia ma dobre, niewysłowienie dobre serduszko i smutek innych ją boli—ozwał się cichy głos Stefana.—Nie obmawiaj się pani—dodał poważnie,—bo niczemu, co byś na niekorzyść swą powiedziała, nie uwierzę. Znam cię od dziecka i wiem dobrze: jakie to skarby uczuć i niewyczerpanej dobroci mieści w sobie serduszko panny Ewii. I dlatego, choć boleścią nieraz serce moje napełnisz, choć słowa twe z pozoru niechętnie dla mnie i gorzkie, ja wiem jednak dobrze, iż na przyjaźni twej zawieśdźbym się nie mógł i słaba oznaka twej życzliwości droższą mi jest nad miłość najgorętszą każdej innej kobiety. Kiedyś, po latach wielu, po wielu rozczarowaniach i zawodach, których pragnąłbym, aby ci los oszczędził, które jednak są nieuniknioną częścią życia ludzkiego, kiedyś przyjdzie może chwila, że dzień dzisiejszy odbije ci się w pamięci i uznasz sama że... Ach, przepraszam. Zapomniałem, że są słowa pewne, które tylko z ust wybranego chcesz usłyszeć. Poproszę więc panią tylko, byśmy przyspieszywszy kroku do domu wracali. Nóżki pani przemokły zupełnie—lękam się, byś się nie nabawiła kataru.

Ewunia, zamysłona i poważna bardzo, co rzadko się jej zdarzało, pośpieszyła prędzej i wkrótce to dwoje młodych znalazło się w obszernym saloniku wiejskiego dworu, gdzie zebrane z kilkunastu osób grono powitało ich uśmiechami i porozumiewawcze spojrzania zamieniło między sobą.

— Gdzie byłaś, Ewuniu?—spytała młoda jeszcze kobieta, której sympatyczne i niegdyś bardzo piękne rysy wyraz smutku i cierpienia przysłaniał. Gdzie odnalazłeś moją pieszczotką, panie Stefanie?

— Panna Ewa była w słowiczym gaju—odparł zapytany—a wiadomo szanownej pani, że z pod ezaru tego milutkiego zakątka trudno się wyzwolić. Łączka w niektórych miejscach wilgotną bywa, radziłbym przeto, aby panna Ewa zmieniła buciuki—dodał, zwracając się do dziewczynki, która przesławszy mu pełne słodyczy uśmiech, frunęła, jak ptaszka z pokoju, rada, że moralów babci i starych ciotek słuchać nie potrzebuje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Petersburgskie Towarzystwo Geograficzne obchodziło czterechsetny jubileusz odkrycia Ameryki.

— Petersburgskie Tow. Techniczne zajęło się kwestyą wodnych dróg sybirskich, niezależnie od tego, czy kolej żelazna przez Syberję ciągnąć się będzie nieprzerwanie, czy też dopełniać ją będzie żegluga parowa na drogach wodnych.

— Warszawski Instytut Głuchoniemych i ociemniałych obchodził uroczyste siedemdziesięciolecie założenia swego w mieście naszym, oraz pięćdziesięciolecie urzędzenia oddziału niewidomych. W kaplicy Instytutu odprawioną została przez ks. rektora Jagodzińskiego uroczysta wotywa, a następnie szanowny ten kapłan wyjaśnił wybowaniem w mowie ustnej i mimicznej znaczenie odbywającej się uroczystości. Założycielem był ks. Jabub Falkowski, trudzący się ofiarnie nad do-

konaniem tego dzieła miłosierdzia. Wciagu trwania instytucji zaznaczyli się w dziejach jej rozwoju d-r Siestrzycki, lekarz niepospolitej nauki; ks. I. Szezygielski, autor książki do nabożeństwa dla głuchoniemych, na której modlą się dotąd wychowawcy zakładu. Wodołowski magister Warszaw. Uniwersytetu, który zaopatrzył zakład w wiele naukowych podręczników, drukowanych wypukło; ks. Chojnacki przyjaciel i pomocnik szczególny ks. Falkowskiego, wreszcie Maryanna Pers, pierwsza dozorczyńca dziewcząt głuchoniemych, oddana mozolnym trudom pracy swojej ze szczególnem poświęceniem i tkliwością serca kobiecego.

— Rzeźbiarz Woydyga wykończył pomnik poświęcony cześć ś. p. d-ra Władysława Krajewskiego. Popiersie naturalnej wielkości wykonane płaskorzeźbą w bronzie, umieszczone będzie wśród pomnika z czarnego marmuru, który zdobią godła odlane z brązu. Warszawskie Tow. Lekarskie zamówiło u tegoż artysty podobny pomnik dla ś. p. d-ra Szokalskiego. Pomieszczone on zostanie w kościele po-wizytkowym.

— P. Adolf Dygasiński ma być powołany na stanowisko kierownika osad rolnych.

— Obraz religijny prof. Gersona „Najświętsza Panna“, oraz Mireckiego „Ś. ty Jan Chrzyciel“ zostały wysłane do Rygi na zamówienie.

— Malarze nasi chcąc przyjść z pomocą choremu ciężko p. Stanisławowi Wolskiemu, zamierzają urządzić wystawę obrazów i szkiców, mieszczących się dotąd w ich pracowniach, a dochód osiągnięty z niej przeznaczyć na kosztą kuracyi chorego.

— Posiedzenie komitetu zajmującego się wzniesieniem pomników Żółkowskiego i Królikowskiego w przedsiönku Wielkiego Teatru, odbyło się z licznym współudziałem interessujących się tą sprawą osób, celem powiększenia funduszu tu potrzebnych. Teatr Wielki urządzi w miesiącu Lutym poranek dramatyczny. Ze zaś umowa co do posagu Królikowskiego została rozwiązana, ogłoszonym będzie ponowny, ograniczony konkurs, do którego zaproszeni będą rzeźbiarze: Syrewicz, Woydyga, Prószyński i Marzewski. Posag Żółkowskiego, nad którym pracuje Woydyga ma być wykonany we Wrześniu r. p.

— Schronienie dla nieletnich chłopców sierot fundacyi ks. Lubomirskiego w Krakowie, budujące się przy ulicy Rakowieckiej, jest blizkiem wykończenia. Budynek to jest bardzo piękny, mieści się tam kaplica zakładu w wielce szlachetnym stylu. Front gmachu zdobić będzie herb fundatora polichromowany, barw odpowiednich. Nad to po obu stronach kopuły półkolistą owalnej wznoszącej się po nad kaplicą, a krytej miedzią, dwie grupy allegoryczne, wyrzeźbione z kamienia przez rzeźbiarzy Langmana i Duana. Jedna z nich przedstawia misyonarza zachęcającego ubogich chłopców do pracy, druga siostrę Miłosierdzia, nauczającą dzieci. Kaplica już jest blizką ukończenia, podobnie jak i budynki mieszkalne, oraz gospodarze.

— Matejko wykończył nowy obraz, i nie wystawiwszy go w Krakowie wysłał go na wystawę.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 13-ty tomu II powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość**, przez Beatrycę Whitby, przekład z angielskiego.

Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Pocziwiec Duval**, przez Joannę Mairret, przekład z francuzkiego.

TREŚĆ: Poczucie piękna, przez I. M.— Alfred Tennyson (dokończenie).—Mgła. Powieść oryginalnie napisana przez M. Gawalewicza (dalszy ciąg).—Wędrownie ptaki przez M. (dokończenie).—Kronika działalności kobiecej.—Pomyłka Ewuni, szkic powieściowy przez Wandę Grot-Bęczkowską.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 13-ty tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego i Arkusz 1 **Pocziwiec Duval** przez Joannę Mairret. Przekład z francuzkiego. Przegląd mód.—35 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

PRZEGLĄD MÓD.

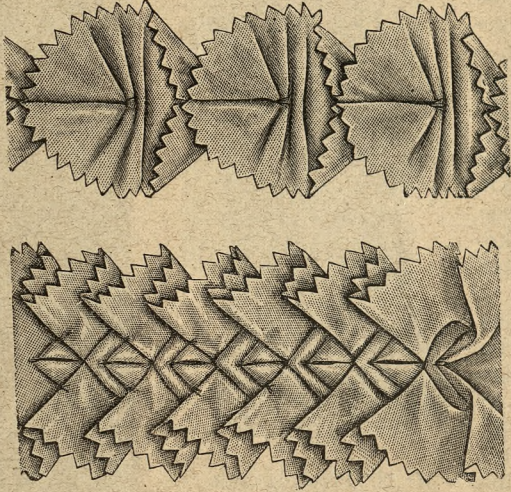
Modele sukien w magazynie pani Anny.— Suknia „bébé.“—Oryginalne materyały zimowe u pana Makowskiego.—Figara gotowe haftem metalowym.—Aksamit na podszewkę po rs. 1 kop. 50.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, że każdy z pierwszorzędných magazynów ma swoje odrębne fasony i modele. Pani Anna, pomimo iż główną cechą jej magazynu są gotowe suknie angielskiego kroju, przywiozła z Paryża kilka oryginalnych a ślicznych modeli. Między niemi pierwsze miejsce zajmuje fason „bébé,“ o którym tyle już mówiono.

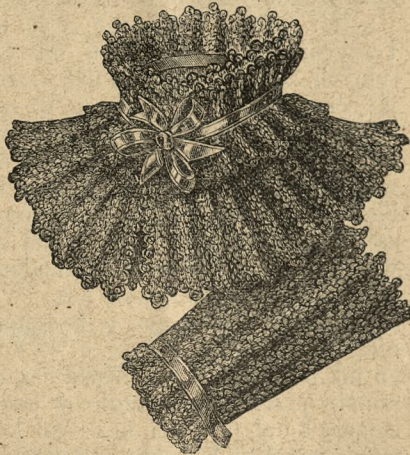
Rzeczywiście, jest to krój sukni, zwanej „Marie Louise,“ bo od Maryi Ludwiki, królowej francuskiej początek swój biorący i głównie na balowy strój z kwadratowym wycięciem w szyi, od którego spada suknia wolno puszczona w dalszym ciągu, jak to rycina Nr 8 „Bluszczu“ Nr 41 przedstawia. Fason ten robi się bez zaszepek z lekkiego materyału, a nosi się na gładkiej jedwabnej „princesse,“ dopełniony w górze na plecach i pod gorsem opasaniem z wstążek. Jest to forma zdaniem naszym nieodpowiednia dla osób małego wzrostu lub otyłych, a właściwa tylko dla osób wysokich i szczupłych. Tak jak wszystkie nowe fasony tak i ten, niekompetentne magazyny przeinaczają i przesadzają. Model u pani Anny jest przesłizny. Czarne sukienko drap-des-dames, tworzy niby gabryellę zupełnie luźną, a jednak wpadającą do figury, zapiętą w tyle, pod spodem stanik, na haftki zapięty, zupełnie dopasowany utrzymuje figurę; od karczka idą z przodu odrazu ułożone w sukni 3 płytkie kontrafałdy, zupełnie jakby fartuszek dziecinny, pokryte czarną jedwabną irlandzką koronką, podłożoną materyą „vieux-rose.“ Oprócz tego kokardy jedwabne różowe w górę upięte z dobią z dwóch stron suknie na piersiach z prawej strony a w tyle na ramieniu z lewej strony, pas plisowany różowy luźno otacza wieście. Rękawy czarne jedwabne bardzo bufiaste. Drugi fason był również luźno puszczony o bardzo krót-



Nr 2. Ozdoba do pułeczek, postumentów i t p (haft na foremkach). Deseń pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 54.



Nr 3 i 4. Ozdoby do sukni z lekkiej wełny lub materyału jedwabnego.



Nr 5. Kołnier i mankiety damskie (robota szydełkowa).



Nr 1. Monogram.



Nr 6. Opaski do franek.



Nr 7. Płaszcz z podwójnym kołnierzem. (Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr V, fig. 27—31).

Nr 8. Mantylka z pluszu.

Nr 9. Okrycie „Cape“ z sukna. (do ryc. Nr 25 w Bl. Nr 43).

kim stanie z popielatej grubej wełny, także lekko wpadającą do figury; do tego fasonu, jako dopełnienie, służy króciutkie czarne aksamitne „figaro“ zaledwie sięgające boczkw sukni z subtym fałdowanym kołnierzem. Oprócz tego są śliczne kostiumy o stanikach na 2 rzędy dużych guzików, z dwoma klapami dyrektoryatu, a wszystko wykończone ze znaną sumiennością i gustem właścicielki.

Musiemy jeszcze raz wrócić do materyałów zimowych, sprawdzonych przez pana Makowskiego. Pokazano mi setki sztuk, prosiłam, aby mnie nie męczyło więcej, że mam już dosyć, ale tu już ambicya właściciela gra też ważną rolę. i rzeczywiście coraz to nowe wykładano mi sztuki nie widziane jeszcze. Otóż są tam mieniące welwety, czysta wełna, paski wypukłe, dwa kolory, na przykład szafir z żółtym lub ponsowy z granatowym, szeroki materyał na 2 i pół łokcia, powtarzam, czysta wełna całość sprawia efekt prawdziwego aksamitu potrzeba łokci 8, dla bardzo wysokiej osoby 9; po 2 1/2 rs. łokciec.

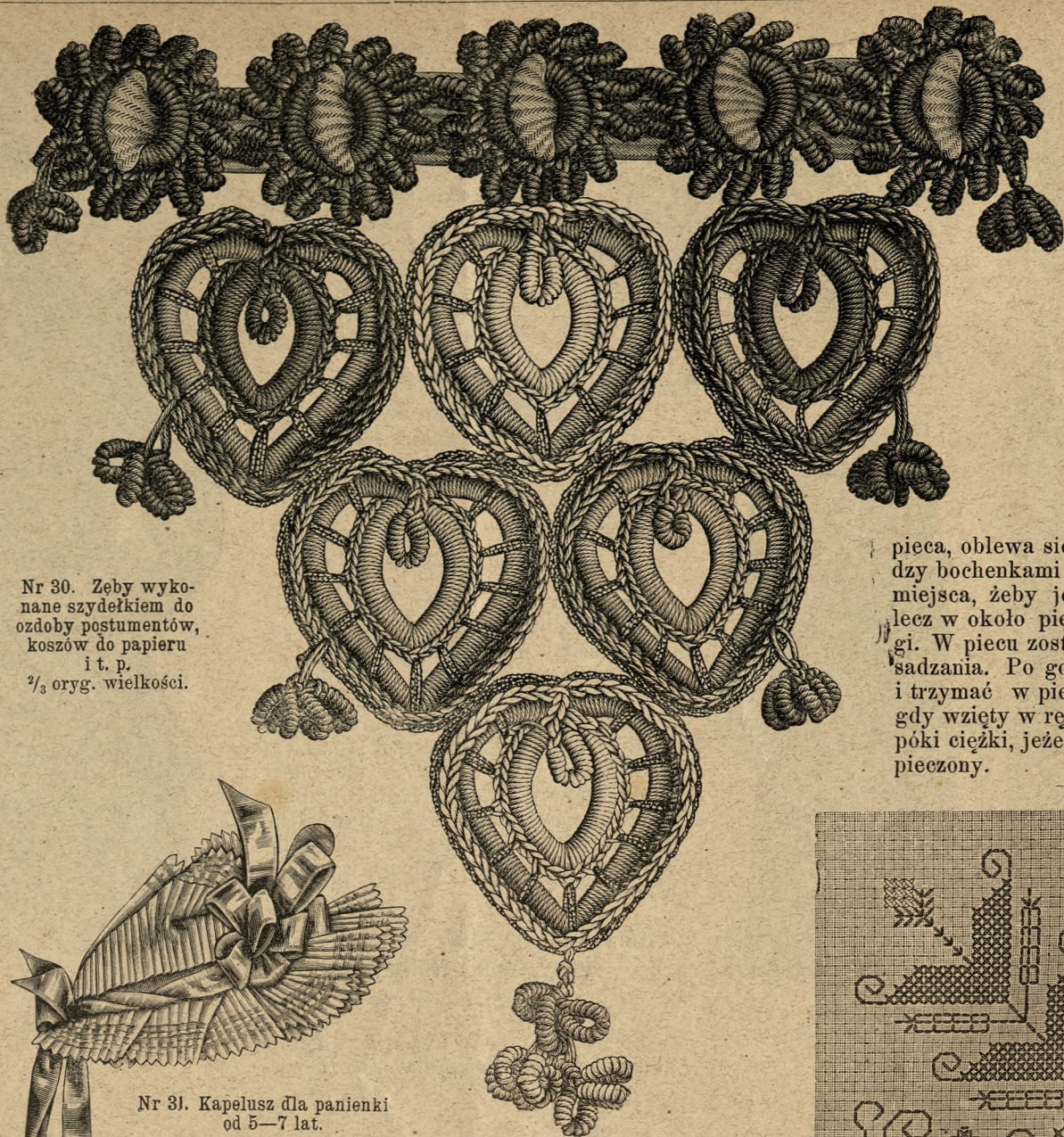
Inny materyał zwany „velours du nord glacé,“ czyli pyszny welwet angielski a wszystko mieniące, jest to aksamit na spodzie bawelnianym także w paski na 3 rs., prześliczną była „sidielienne glacé,“ mieniąca się w seledynowy z różowym lżejsza wełna, a jakie pyszne fantazyje w szkockich wełnach, które bądź co bądź, jak nam piszą żurnale francuskie, zawsze są lubione i zawsze noszone. Na zimowe ciepłe okrycia pokazywano nam miękkie jak puch himalaje i wigonje a wszystko w kolorach mniej więcej jasnych, lub też „chiné,“ mieszane z dwóch kolorów, ale nie mieniące. Między tym nieprzebranym stołem sztuk znaleźliśmy rzecz bardzo nową i bardzo taną — gruby aksamit w kratę bardzo ładną w jaskrawych kolorach na podszewkę pod rotundy, burnusy, okrycia, kapy „cape“ i t. p. po rs. 1 kop. 50, do rs. 1 kop. 80. Dalej—dalej, bo i czegoż tam nie było, pokazywano nam gotowe „figara“ na czarnym kaszmirze, całe złotem i kamieniami haftowane po 12 do 15 rs., a jak to zdo-

PRZEPISY GOSPODARSKIE

Chleb pyłowy na drożdżach domowych.

Garść chmielu suchego ugotować w półtory kwarcie wody i gotującym tym płynem, lejąc przez sitko, sparzyć kwartę mąki żytniej, wybijając to ciasto w garnku przez pół godziny, a po wyrobieniu dodać kawałek ciasta wielkości, zostawiony z przeszłego pieczenia chleba, a przechowany w płótnie i w mące na chleb przeznaczony i znów wyrabiać należy, aby grudek nie było. Garniec ten z rozrobionem ciastem zostawić przez noc w ciepłym miejscu, żeby wyrosło, następnego dnia rozczynić dwa garnce mąki letnią serwatką, biorąc kwartę na garniec mąki, dodać wyżej opisane drożdże zrobione z chmielu i mąki, wymieszać dobrze i postawić w ciepłym miejscu, żeby wyrosło. Gdy już ciasto wyrosło i zacznie opadać, wsypać soli półkwaterek, a kto chce kminku, dodać mąki dwa garnce i wyrabiać ciasto jak najlepiej, niech rośnie na niece ze 3 godziny, później robić małe bochenki, które wyrastają na desce lub w małych miseczkach wysypanych mąką. Bochenki na desce smarować czystą ciepłą wodą a po wyjęciu z pieca natychmiast znowu wodą posmarować szczotką na to przeznaczoną.

W piecu zaraz palić, jak chleb zaczyna powtórnie rosnąć uważać trzeba, ażeby trzon wszędzie jednakowo mocno był ogrzany, a wymiatając węgle nie studzić weale mokrem pomiotłem. Probując piec mąką, powinna się takowa mocno zarumienić. Stawiając chleb do



Nr 30. Żeby wykonane szydełkiem do ozdoby postumentów, koszów do papieru i t. p. $\frac{2}{3}$ oryg. wielkości.



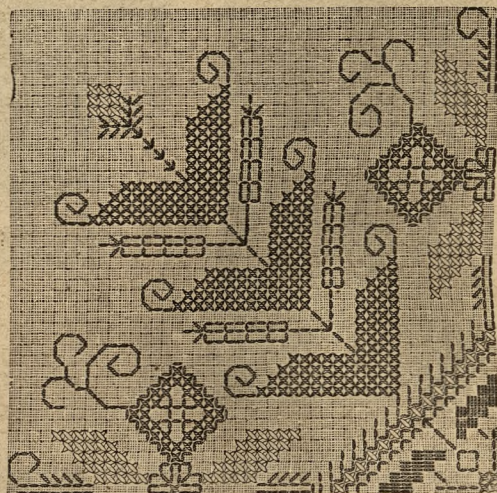
Nr 31. Kapelusz dla panienki od 5—7 lat.



Nr 32. Kapturek dla panienki od 4—6 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 32)

pieca, oblewa się go gotującą wodą. Między bochenkami w piecu powinno być tyle miejsca, żeby jeden drugiego nie dotykał, lecz w około pięknie upieczone miał brzęgi. W piecu zostać musi godzinę bez przesadzania. Po godzinie można przesadzić i trzymać w piecu jeszcze z pół godziny, gdy wzięty w rękę jest lekki, to ma dosyć, póki ciężki, jeżeli udany, to jeszcze niedopieczony.

L. C.

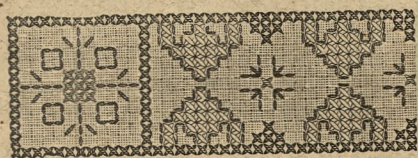


Nr 27. Figura do serwetki Nr 34.

Obiad na Niedziele.

1. Rosół z kluskami z wątróbki.
2. Sztuka mięsa z sosem pomidorowym.
3. Kalafiory (au gratin).
4. Zając z borówkami.
5. Suflet z jabłek.

UWAGA. Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w N-rze dzisiejszym dołączoną była do zeszłego N-ru „Bluszczu.”



Nr 28. Szlaczek do serwetki Nr 34.



Nr 34. Serwetka (do ryc. Nr 27 i 28). Ścieg płaski, krzyżowy i Holbejna.



Nr 33. Suknia wieczorowa lub obiadowa z atłasem i koronki.



Nr 35. Serwetka na „chaise longue” (haft i robota szydełkowa). Deseń odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 71.